CENA ZŁ 20

Rozmowa z Arkadym Fiedlerem — Nieznany portret Mickiewicza

Odra tygodnik

WROCŁAW

KATOWICE

NUMER 19 (181) KATOWICE, WROCŁAW, SZCZECIN, OLSZTYN, DNIA 29 MAJA 1949 R. ROK V

CZYTELNIK

SOPOT
ul. Czerwonej Armii 101
Wyższa Szkoła Handlu
Morskiego Biblioteka

CZYTELNIK

MARIA ORZECHOWSKA

LIBUSZA

Obrazek sceniczny w 1 akcie z pobytu Fryderyka Chopina w DUSZNIKACH na Dolnym Śląsku

Rok 1826, sierpień. Deptak przy domu zdrojowym w Dusznikach. Ławki, kwietniki. Pogodne popołudnie. Za sceną orkiestra zdrojowa (dęta) gra marsze, polki i arie z współczesnych oper.

OSOBY:

Justyna Chopin — matka Fryderyka
Ludwika Chopin — siostra Fryderyka, 19 lat
Emilka Chopin — siostra Fryderyka, 14 lat
Leokadia — sąsiadka
Libusza — młoda Czeszka, obsługująca źródło
Fryderyk Chopin — 16 lat
Baron Pomponi — podstarzały elegant
Rita Navarra — śpiewaczka operowa.
Pocztylion zakładowy — 14 lat

Kuracjusze
Dzieci
Orkiestra zdrojowa
Rozwoziciel orszady
Pielęgniarka

GRUPA DZIECI: *(przechodzi z obręczami i zabawkami, niektóre piją wodę leczniczą, chłopczyk ciągnie drewnianego psa na kółkach).*

GRUPA KURACJUSZY: *(popijając wodę, przechodzi spacerowym krokiem).*

PIELĘGNIARKA: *(z przeciwnej strony popycha wózek, w którym chory czyta gazetę).*

br. POMPONI: *(w cylindrze, z narzuconą z niedbałą elegancją peleryną, z laską z gałką, idzie sztywno wyrzucając nogi, prowadząc na smyczy psa doga. Podśpiewując do muzyki ogląda się, przysiada na ławce dbając o efektowną pozę, lornetuje zbliżającą się Ritę Navarra).*

RITA NAVARRA: *(z parasolką, nadchodzi szeleszcząc jedwabiami).*

br. POMPONI: *(zrywa się, kłania).*

RITA NAVARRA: *(mierzy go wzrokiem, nie zatrzymując się).*

br. POMPONI: *(wyjmuje z kamizelki koronkową chusteczkę)* Pani raczyła upuścić chusteczkę.

RITA NAVARRA: *(przechodzi z podniesioną głową).*

br. POMPONI: *(wąchając chusteczkę idzie za Ritą)* Boska. Boska. *(przechodzi).*

LEOKADIA: *(nadchodzi z kubkiem, z książką, zaciekawiona dostrzeżoną sceną chce iść z baronem, a'e widząc nadchodzące panie siada na ławce i udaje, że czyta).*

JUSTYNA CHOPIN: *(prowadzi Emilkę, która popija wodę, huśtając piłką w siatce. Z drugiej strony obok Justyny idzie Ludwika).*

LUDWIKA: *(z parasolką)* Jeżeli mama pozwoli, zajrzę do doktora. Jestem pewna, że Frycek jest u doktora.

EMILKA: Ja pójdę.

JUSTYNA CHOPIN: Zostań Emilko.

LUDWIK: Co powiedzieć Fryciowi, jeśli go zastanę u lekarza?

JUSTYNA: Przypomnij mu, że po zachodzie słońca bezwarunkowo musi być w domu.

LUDWIKA: Już ja go przypilnuję. *(odchodzi)*

LEOKADIA: Panie znajdą pana Fryderyka przy źródle.

JUSTYNA: Idziemy stamtąd. Nie widziałam syna.

LEOKADIA: Trzeba umieć szukać.

EMILKA: Pani umie?

JUSTYNA: *(karcąco)* Emilko!

LEOKADIA: Potrafię, jeżeli mam w ten sposób oddać komuś przysługę.

JUSTYNA: *(chłodno)* Dziękuję pani, panno Leokadio. *(chce odejść).*

LEOKADIA: Znajdzie pani syna przy źródle, ale nie w pijalni, tylko w pokoju, gdzie personel zmienia fartuszki.

JUSTYNA: Cóżby tam robił mój syn?

LEOKADIA: Nie mówię, że robi coś złego. Niech pani spocznie. No... na małą chwileczkę. *(Justyna siada niechętnie)* Zresztą nie on jeden. Kręci się tam falanga mężczyzn, zabiegających o względy tej młodej Czeszki. Można by sądzić, że własności lecznicze wody podawanej przez Libuszę, przewyższają wartości wszystkich pozostałych źródeł dusznickich.

JUSTYNA: Rodzaj wody przepisuje lekarz zakładowy.

LEOKADIA: Wszyscy mężczyźni chcieliby pić z tego właśnie źródła. Gdy tam biegną, robią wrażenie jakby usychali. Pan Fryderyk również wygląda na spragnionego.

JUSTYNA: Pani robi całkiem niestosowne aluzje. Mój syn ma zaledwie sześnaście lat. To jeszcze dziecko.

LEOKADIA: Nie spotkałam matki, która nie mówiłaby tego właśnie.

ROZWOZICIEL ORSZADY: *(przechodzi z wózkiem)* Or-szada! Or-sza-da!

JUSTYNA: Przyjaźń Frycka z Libuszą ma inne podłoże. Oboje są wyjątkowo muzykalni.

LEOKADIA: Nno... Kapelmistrz orkiestry zdrojowej jest niemniej muzykalny, mimo to nie spostrzegłam, by pan Fryderyk przyjaźnił się z kapelmistrzem.

JUSTYNA: Libusza bardzo pięknie śpiewa. Nie wyobraża sobie pani, do jakiego stopnia mój syn interesuje się muzyką ludową. Właśnie ludową.

LEOKADIA: Szczególnie czeską, jak widać. Sądzę jednak, że zanim młodzi doszli do porozumienia na punkcie zamiłowań artystycznych, porozumieli się...

JUSTYNA: Wszystko to skończy się, mam nadzieję, gdy mój dostanie fortepian. Mówiono mi w zarządzie, że dziś lub jutro przywiozą dobry instrument. Tak, to się skończy.

LEOKADIA: Ja nie miałam zamiaru źle mówić o Libuszy. O pani Navarra mówią jeszcze gorzej. Mnie w ogóle nie interesuje kto gdzie z kim. Przyjechałam na kurację, nie na plotki. Siaduję z książką na balkonie, więc przypadkiem zaobserwuję to i owo. Wczoraj na przykład...

JUSTYNA: Idź się pobaw piłką, Emilko.

EMILKA: *(wyjmuje piłkę z siatki).*

LEOKADIA: *(mówi do Justyny po cichu).*

GRUPA KURACJUSZY Z RITĄ NAVARRĄ: *(śmiejąc się głośno przechodzi).*

LEOKADIA: Widziała ją pani? To ta Rita Navarra. Zawsze oblężona. *(w dalszym ciągu opowiada coś Justynie).*

EMILKA: *(idzie na przód sceny, gdzie uderza piłką o ziemię, mówiąc w takt)* Kipi—kasza, Kipi—groch, dla—kogo—to, dla—nas—dwóch. Kipi—kasza, Kipi—groch, dla—kogo—... *(piłka wpada pod nogi nadchodzącego br. Pomponi).*

br. POMPONI: O pardon *(podnosi piłkę)* Proszę, mademoiselle. EMILKA: *(dyga)* Dziękuję. Śliczny pies. Jak on się nazywa?

br. POMPONI: To nie on, to ona. Heloiza.

EMILKA: *(bawiąc się piłką)* A młode pan ma?

br. POMPONI: *(zaskoczony, potem parska śmiechem).*

JUSTYNA: Emilko.

br. POMPONI: *(kłania się)* Było mi bardzo miło *(odchodząc ogląda się za Emilką)* Charmante!

LEOKADIA: Młode? Fe. Jak można mówić o czymś podobnym z mężczyzną?

JUSTYNA: Nie rozmawia się z nieznajomymi. Dobrze o tym wiesz, Emilko.

EMILKA: My się znamy z baronem Pomponi. Wpuściłam mu żabę do cylindra.

JUSTYNA: Co? Za karę nie pójdziesz w niedzielę na wycieczkę.

EMILKA: Mamusiu! To była całkiem malutka żabka. Jeszcze mniejsza od tej, którą puściłam w Żelazowej Woli na stół wielkanocny.

JUSTYNA: Schowaj piłkę. Pójdziemy. *(odchodzi z Emilką, Leokadia też).*

(Orkiestra milknie, słychać trąbkę pocztyliona)

POCZTYLION: *(w liberii zakładowej, z zawieszoną skrzynką na listy, na której wymalowany gołąbek z listem. Na ramieniu damska peleryna. Siada na ławce, drapuje się w pelerynę, zapala fajkę).*

FRYDERYK CHOPIN: *(nadbiegając)* Pocztylionku, masz coś dla mnie?

POCZTYLION: *(pyka fajkę)* A co by to miało być?

FRYDERYK: *(siada)* Liścik od Libuszy. *(potrząsa skrzynką).*

POCZTYLION: Powiem panu, że z kobietami...

FRYDERYK: Co z kobietami? Dawaj list.

POCZTYLION: Z kobietami nie warto zaczynać.

FRYDERYK: Dlaczego?

POCZTYLION: Bo dużo kosztują.

FRYDERYK: Ciebie chyba nie.

POCZTYLION: Nie. Jeszcze z nimi nie zacząłem.

FRYDERYK: Więc o co się martwisz? Dawaj list.

POCZTYLION: Bo z czasem wszyscy z nimi zaczynają: A to koniec. Ruina.

FRYDERYK: List, pocztylionku.

POCZTYLION: *(otwierając skrzynkę kluczykiem, zawieszonym na szyi)* Baron Pomponi posłał pani Navarra kosz róż za 10 talarów. *(szuka listu).*

FRYDERYK: Pani Navarra podobno przecudnie śpiewa.

POCZTYLION: Więc baron chciałby akompaniować. *(znajduje list)* Pan Fryderyk Pichon. Ale ja wiem, że pan jest Chopin.

FRYDERYK: *(rozrywa kopertę)* Przyjdzie!

POCZTYLION: Nie mogła panu tego powiedzieć?

FRYDERYK: Mogła, mogła, ale przyjemnie dostać liścik. Nie rozumiesz tego, pocztylionku?

POCZTYLION: Myślę, że dlatego to zrobiła, żeby pocztylion dostał piernika.

FRYDERYK: *(daje pierniczki z kieszeni)* Masz. Nie za list, a dlatego, że cię lubię. A wiesz za co cię lubię?

POCZTYLION: Za mój dowcip.

FRYDERYK: Nie. Za to, że ci na imię Maciek. Że mówisz po polsku, jak twój dziad i pradziad. Żeście się nie dali przerobić na Niemców. *(orkiestra zaczyna grać)* Brr! Ta kocia muzyka.

LEOKADIA: *(nadchodzi).*

FRYDERYK *(kłania się. Gdy Leokadia przeszła)* Panna Leokadia wygląda jakby czegoś szukała.

POCZTYLION: *(wyciągając pierniki z kieszeni Fryderyka)* Szuka, czego nie zgubiła.

FRYDERYK: Ty, mam wrażenie, robisz to samo w mojej kieszeni. Czekajno *(Wyjmuje szkicownik)* Zrobię portret panny Leokadii.

POCZTYLION: *(patrząc do szkicownika)* Panna Leokadia, jak żywa! Jeszcze gorzej, jak żywa. *(śmieje się).*

FRYDERYK: To karykatura.

POCZTYLION: Co ona, trąbi na trąbie?

FRYDERYK: Ona przecież nic nie robi, tylko trąbi. Jeszcze podpiszę. Pierwsza trąba... w orkiestrze... dusznickiej. Duszniki, sierpień... 1826. *(słysząc, że Leokadia wraca, chowa szkicownik za plecy).*

LEOKADIA: *(nadchodzi).*

POCZTYLION *(dwuznacznie)* Pierwsza trąba w orkiestrze dusznickiej. *(trąbi na swojej trąbce za plecami Leokadii, która wystraszona ucieka).*

POCZTYLION: *(zakłada skrzynkę pocztową)* Muszę rozdać resztę poczty.

FRYDERYK: Zostań ze mną dopóki nie zamkną pijalni.

POCZTYLION: Mam liścik dla Libuszy. Muszę doręczyć zanim opuści pijalnię.

FRYDERYK: Od kogo? Kto się ośmielił?

POCZTYLION: Zachowanie sekretu to pierwsze przykazanie pocztyliona.

FRYDERYK: Od kogo, pocztylionku? Chcę tylko wiedzieć od kogo.

POCZTYLION: Od właściciela doga i spiczastego nosa.

FRYDERYK: Co? Od tego pajaca barona Pomponi? Przecież on nadskakuje pani Navarra.

POCZTYLION: Napoleon też oblegał dwie twierdze naraz.

FRYDERYK: Zrobię mu kawał.

POCZTYLION: Jaki kawał?

GRUPA DZIECI: *(chłopczyk z drewnianym psem na kółkach, przechodzą).*

FRYDERYK: Zaraz mu zrobię kawał. Pomożesz mi?

POCZTYLION: *(wahająco)* To nie było by honorowo. Baron mi daje hojne napiwki.

FRYDERYK: Zawsze zjadasz pierniki. Ja ci nie wymawiam.

POCZTYLION: Pierniki też są dobre. *(sięga do kieszeni Fryderyka)* Jaki by to miał być kawał?

FRYDERYK: *(wyrywa kartkę ze szkicownika)* Daj mi taki papier gumowany do zaklejania listów.

POCZTYLION *(daje papierek, wygląda)* Baron nadchodzi z panią Navarrą. Róże zrobiły swoje. A co?

FRYDERYK: *(wkłada na nos papierowy spiczasty nos).*

POCZTYLION: *(piszący z uciechy).*

FRYDERYK: *(ściąga z niego pelerynę).*

POCZTYLION: Hola, to pani Navarra peleryna.

FRYDERYK: Biegnij no za tym dzieckiem, i weź od niego psa na kółkach.

POCZYLION: *(wybiega, wraca z psem na kółkach, za nim zaciekawione DZIECI).*

FRYDERYK *(z psem na kółkach i kijkiem, który wziął od dzieci)* Trąb Maćku, kiedy się zbliżą do ławki. *(wybiega).*

POCZTYLION: *(do dzieci)* Siadać publiczność i bić brawo. Baczność nadchodzą *(trąbi).*

br. POMPONI: *(krygując się przed Ritą, niesie jej parasolkę).*

RITA NAVARRA: *(wącha bukiet róż).*

(Orkiestra gra marsza)

FRYDERYK: *(z naprzeciwka, wyrzucając nogi jak baron, ciągnie psa na kółkach).*

RITA NAVARRA: *(parska śmiechem).*

DZIECI: *(klaszczą)* Brawo! Brawo!

br. POMPONI: Mój panie...

RITA NAVARRA: *(pociągając opierającego się barona)* Nie życzę sobie awantur *(Gdy baron ogląda się na Fryderyka).* Przecież nie będzie się pan pojedynkował z dzieciakiem. (Odchodzą).

POCZTYLION: *(odbierając od Fryderyka pelerynę)* Moje uznanie, panie Pichon czyli Chopin. Byłby z pana aktor znakomity. A więc przyjemnych chwil, panie Pichon. *(zagania dzieci, które wyrywają sobie papierowy nos)* Historyczny nos dostanie ten kawaler za pożyczenie psa. (wkłada nos chłopcu) A sio, a-sio! *(wychodzi za dziećmi).*

(Muzyka cichnie)

FRYDERYK: *(oczekując Libuszy, chodzi niecierpliwie, wyjmuje zegarek z kieszeni kamizelki)*

LUDWIKA: *(nadbiega)* Miałeś być u lekarza, Frycku. Czeka na ciebie.

FRYDERYK: U lekarza mam być we wtorek.

LUDWIKA: To właśnie dziś.

FRYDERYK: Skąd wiesz?... Wczoraj też musiał być wtorek. Tu wszystkie dni są jednakowe, same wtorki. Gdybym nie robił trochę głupstw...

LUDWIKA: Dostaniesz fortepian, Frycku.

FRYDERYK: Już przestałem wierzyć w ten fortepian.

LUDWIKA: Będzie, będzie.

FRYDERYK: Kiedy?

LUDWIKA: We wtorek *(śmieją się).*

FRYDERYK: Ludko. Zrób coś, żebym nie musiał iść do lekarza. Czekam na kogoś.

LUDWIKA: Zatrzymam Libuszę, bądź spokojny. Pospiesz się. O ile wiem, chodzi tylko o zanotowanie wagi. Jeżeli schudłeś, to...

FRYDERYK: *(odchodząc)* Zatrzymaj ją. Ona się zawsze tak spieszy do domu!

LUDWIKA: *(siada na ławce).*

ROZWOZICIEL ORSZADY: *(przechodzi z pustym wózkiem).*

KURACJUSZE (z pustymi szklankami).

ORKIESTRA: *(zdrojowa, komiczne figury, schodzi z deptaku, za nią dzieci. Słońce zachodzi czerwono).*

LUDWIKA: *(wstaje, gdy zbliża się piosenka czeska Libuszy).*

LIBUSZA: *(w ludowym stroju czeskim, na widok Ludwiki milknie).*

LUDWIKA: Piękna pieśń, Libuszo. Dlaczego jej nie dokończyłaś?... Wiem, że nie dla mnie ją śpiewałaś. Usiądź, proszę.

LIBUSZA: *(chmurnie)* Czy przyszłaś zamiast niego?

LUDWIKA: Frycek musiał iść do lekarza... Chciałabym, żeby potem poszedł do pokoju.

LIBUSZA: Zawsze mówicie jedno i to samo, ty i Emilka. Czy to grzech, że posiedzę z nim trochę?

LUDWIKA: Jest taki wątły. Ja go bardzo kocham, Libuszo. Ja pierwsza zaczęłam Frycka uczyć grać na fortepianie. Zastawaliśmy go w nocy, w koszulce, przy instrumencie. Jakim niezwykłym był dzieckiem. Pomyśl, miał sześć lat, kiedy dał pierwszy koncert.

LIBUSZA: Sześć lat?

LUDWIKA: Czeka go wielka przyszłość. Cała Warszawa jest dumna z niego. Kocha go.

LIBUSZA: A jeśli i ja go kocham?

LUDWIKA: Libuszo. To jeszcze dziecko.

LIBUSZA: Dziecko? *(śmieje się)* Tak nie całuje dziecko.

LUDWIKA: Libuszo!

FRYDERYK: *(przybiega)* Libuszo! Moja śliczna. Dziękuję ci Ludko, że ją zatrzymałaś. Będziesz ze mnie rada, przybyło mi 400 gramów. *(całuje Ludwikę)* Idziesz do domu?

LUDWIKA: *(smutno)* Pójdę. Dobranoc. *(odchodząc)* Frycku, wiesz o tym, że doktor zakazał ci pozostawać na dworze po zachodzie słońca.

LIBUSZA: *(tuli się do Fryderyka, siadają, patrząc sobie w oczy. Po chwili Libusza zaczyna nucić).*

FRYDERYK: *(gdy Libusza skończyła pieśń)* Powiedz, jaki ptak w Czechach najpiękniej śpiewa?

LIBUSZA: Słowik.

FRYDERYK: Ale słowik jest skromny i szary, a ty piękna i

(Dokończenie na str. 4)

MAKSYM GORKI

PRASA w oparach sensacji

Poniższy artykuł Gorkiego, napisany został w r. 1931. Po raz pierwszy opublikowano go z rękopisu, znajdującego się w Archiwum A. M. Gorkiego przy Instytucie Światowej Literatury, w roku 1949. Do uwag wielkiego pisarza robotniczego nie wiele trzeba dziś po latach 18 od napisania artykułu dodawać. Chyba, że dzisiejsza prasa burżuazyjna prócz domów publicznych, morderców i fałszerzy ma jeszcze strajki, bombę atomową i Krawczenkę.

Maksym Gorki według portretu Walentyny Chodasiewicz (Leningrad 1919)

Na rynkach, gdzie handlują starymi gratami, od razu widać czym ludzie żyli wczoraj, a reklamy i gazety dokładnie mówią, czym żyją dzisiaj. Mówiąc o gazetach, mam na myśli te doczesne „organy wychowania publicznego", w „ośrodkach kultury" Europy Zachodniej i Ameryki. Uważam, że czytanie burżuazyjnej prasy jest równie pożyteczne, jak słuchanie szczerych opowiadań służby o życiu ich panów. Choroby nie powinny i nie mogą interesować zdrowego człowieka, ale lekarz jest obowiązany je studiować. Zawody: lekarza i dziennikarza mają wiele wspólnych cech, i jeden i drugi rozpoznaje i charakteryzuje choroby. Warunki, w jakich pracują nasi dziennikarze, są dogodniejsze, niż dziennikarzy burżuazyjnych, — naszym dokładnie są znane ogólne przyczyny objawów socjalno-patologicznych. Dlatego też sowiecki dziennikarz powinien odnosić się do wiadomości burżuazyjnej prasy tak oględnie, jak lekarz odnosi się do jęków i skarg chorego. Gdyby się znalazł utalentowany człowiek, który by, zebrawszy odpowiednią ilość faktów z kroniki gazet z jakiegokolwiek „ośrodka kultury", zestawił te fakty z reklamami magazynów, restauracji, zakładów rozrywkowych, z opisem spotkań, przyjęć, towarzyskich uroczystości — gdyby opracował cały ten materiał... otrzymalibyśmy wówczas olśniewająco jasny i wstrząsający obraz „kulturalnego" życia burżuazji ówczesnej. O czym pisze codziennie burżuazyjna prasa naszych dni? Oto, na przykład, wydarzenia, zanotowane pokrótce w ciągu ubiegłego maja.

„Bunt wychowanków" — „Z Domu Wychowawczego uciekło 14-tu chłopców, 12-tu złapała konna policja, los dwóch pozostałych niewiadomy". „Znowu mordowanie nieletnich". „Matka — morderczyni otruła dwoje dzieci gazem: przyczyna — głód". Jeszcze jedno zatrucie gazem" — otruło się pięcioro ludzi: mąż, żona, staruszka — matka męża, trzyletnia dziewczynka i niemowlę. Powodem tragicznej śmierci — głód". „Jeszcze jedna kobieta pokrajana na kawałki". „Zebrak — milionerem. — Umarł żebrak, starzec 80-letni, w jego rzeczach znaleziono 5 milionów koron". „Umarł 89-letni lord Eszton, pozostawił majątek i 20 milionów funtów". „Skandaliczny proces" — w Ljonie zatruło się na śmierć 300 osób po wypiciu brudnej wody z miejskiego wodociągu". „Olbrzymia wygrana w karty". „Wczoraj w kilku częściach miasta zdarzyły się zabójstwa; mordercy szczęśliwie zdążyli się ukryć". Słowo **„szczęśliwie"** w tym wypadku nie oznacza ironii, raczej zadowolenie z pomyślnie zakończonej imprezy.

Potem cytuje się fakty mniejszych lub większych oszustw, przekupstwa, wyuzdania, zakończone samobójstwem, morderstwem. Oczywiście wymieniłem tu tylko znikomą część faktów, opublikowanych w ciągu miesiąca, zaledwie 90/100 wszystkich kryminalnych i patologicznych wydarzeń. Pisze się o tym zwięźle, sucho, beznamiętnie, a dla ożywienia opowiadania, dziennikarz dodaje jeszcze kobietę, sadystycznie pokrajaną na kawałki, albo potwora z Düsseldorfu, robotnika Kürtena, obwinionego o 53 morderstwa, który nagle zadaje sędziemu śledczemu pytanie: „I co by pan powiedział, gdybym się teraz wyparł wszystkich zarzucanych mi zbrodni". Pytanie sensacyjne, ale praca policji w krajach burżuazyjnych jest ciągłą sensacją, więc pytanie Kürtena nie powinno dziwić naszego czytelnika.

W końcu człowiek nie rozumie, poco się takie rzeczy publikuje? Materiał „kroniki" nie wywołuje żadnych komentarzy w burżuazyjnej prasie. Widzi się, że są to rzeczy zwyczajne, które nikogo nie wzruszają i nie przerażają. Dawniej, przed wojną było inaczej. Ludzie się oburzali. Pisali słodko-kwaśne artykuły o „chorobach organizmu społecznego", wyrażali różne uczucia, za którymi kryła się trwoga, a częściej rozdrażnienie „kulturalnych ludzi" zaniepokojonych nienormalnymi faktami.

Za naszych czasów, burżuazyjna prasa nie interesuje się obyczajowymi dramatami dlatego, że codziennie giną dziesiątki i setki drobnych, nic nieznaczących ludzi, i to już dawno weszło w porządek dzienny. Nie zmienia to w niczym i nie zagraża życiu ludzi, którzy chcą żyć spokojnie i wesoło. Coraz to przybywają wspaniałe kina, świetne restauracje z orkiestrami jazzowymi, których melodie wstrząsają ścianami i sufitami lokali; rzucają się w oczy reklamy o środkach przeciwko „niemocy nerwowej", o lekarzach chorób wenerycznych. Ale, przecie się o tym pisało i przed rokiem 14-tym? Tak, ale nie tak hałaśliwie, a teraz wydaje się, że burżuazja „centrów kultury" doszła jednomyślnie do przekonania, że:

...Życie coraz krótsze,
I dzień za dniem umyka,
Więc niech was w dzień i w nocy
Ponosi szał, muzyka!

Takie wiersze wygłaszał w szynku cienkonogi mężczyzna z wielkim brzuchem, z silnie zaczerwienioną twarzą i bezmyślnymi oczami narkomana.

Czy przesadzam? Nie mam do tego żadnej ochoty, chociaż wiem, że rozkład duchowy jest zaraźliwy. Życie samo nabiera coraz jaskrawszych barw, zapewne dlatego, że temperatura i radość życia burżujów podnosi się gorączkowo. Burżuazja stara się uczynić życie swe jak najweselszym, aby zagłuszyć ponure przeczucie swego końca.

Zdaje mi się, że dobrze znam z opisów dziennikarskich robotników Europy i Ameryki. Robią na mnie wrażenie manekinów, przejętych uczuciem najgłębszej obojętności względem ludzi i przypominają mi obsługę szpitala dla nerwowo chorych, która i pacjentów i lekarzy uważa za wariatów. Tą obojętnością tłumaczy się niewzruszona beznamiętność w podawaniu wiadomości o najrozmaitszych faktach.

Np. **„Wczoraj niejaki Hans Müller założył się i zjadł w przeciągu 11-tu minut 36 par parówek".**

„W roku 1928 w Prusach skończyło samobójstwem 9350 osób, z tego 6690 mężczyzn i 2840 kobiet. Na miasta wypada 6413 samobójstw, na wieś 3117".

„...W okolicach Berlina ukazuje się „nocna zjawa", która systematycznie nawiedza miejscowego pastora. Zjawisko to już trzykrotnie budziło pastora „nieprzyzwoitymi żartami". Wezwana policja znalazła pod oknami pastorskiego domu czapkę, oczywiście zgubioną przez zjawę". „Czy należy dopuszczać do Komunii św kobiety z obciętymi włosami?" To pytanie postawili niektórzy biskupi, i 24 maja było ono roztrząsane w Watykanie. Kolegium kardynałów odpowiedziało na pytanie twierdząco: Noszenie krótkich włosów nie sprzeciwia się chrześcijańskiej moralności.

W roku zeszłym jeden z dziennikarzy na podstawie policyjnych danych podał do wiadomości, że we Francji rokrocznie ginie bez wieści około czterech tysięcy kobiet. Niedawno w różnych miastach Francji zaaresztowano szajkę „handlarzy żywym towarem", którzy sprzedali 2500 dziewcząt do domów publicznych Ameryki Południowej. Francuski dziennikarz A. Londr doskonale przestudiował tę gałęź handlu niewolnikami, — jego książka: **Przestępcze rzemiosło"** była w zeszłym roku (tzn. 1930 — dop. red.) wydana u nas przez firmę „Federacja". Jest to nadzwyczaj ciekawa książka opisująca szczegółowo sposoby oszukiwania i porywania dziewcząt, ich pracę w Argentynie, no i, co najbardziej zastanawiające, nie ma w niej ani jednego słowa oburzenia.

Na 10 stronie książki Londr opowiada o swoim spotkaniu z handlarzem w następujących słowach:

„Arman — sutener... Ja wiem, czym on się zajmuje. On wie — czym ja. On mnie ufa. Ja — jemu. Jak ludzie interesu".

Właśnie jak ludzie interesu i nic więcej, chociaż „interes" wygląda nieludzko i podle.

Ale tu, dla wyjaśnienia nastawienia psychologicznego Londra należy przytoczyć poniżej zdanie pewnego amerykańskiego dziennikarza: „Policjant nie powinien się zastanawiać, czy człowiek, którego prowadzi do więzienia, albo na sąd, jest winien. Przyprowadza na sąd społeczeństwa ludzi takich samych, jak on, ich przeszłość i przyszłość nie powinna go obchodzić".

Te słowa słyszałem w Nowym Yorku w roku 1906 w czasie małego skandalu zainscenizowanego przez szlachetnych Amerykanów. Kiedy mnie wypędzili z dwóch hoteli, zdecydowałem się oczekiwać na dalsze następstwa, umieściłem się z moimi walizkami na ulicy, i zostałem wnet otoczony przez grupę reporterów w liczbie 15. Byli to ludzie po swojemu, po amerykańsku nawet bardzo mili, współczuli mi, a nawet zdawało się, że są nieco zawstydzeni skandalem. Najsympatyczniejszym był jeden z nich, duży chłop o drewnianych rysach ze śmiesznie okrągłymi zupełnie jak dwa paciorki oczami, jaskrawo niebieskiego koloru. Był znakomitością: na rozkaz swojej gazety, zorganizował doskonale porwanie z Manilskiego więzienia na Filipinach

(Dokończenie na str. 3)

JERZY HORDYŃSKI

Kwitnienie nowiu

Wieczorny sen, wieczorne przeczuwanie,
w mgławicach sens odnajdzie pusty los
i znajdą cel i odzyskają głos
milczące w dzień gałęzie, mrok i kamień.

Deszcz pada wciąż i monotonny klekot
żab czuwających nad uśpionym stawem,
namaszczę oczy swe dziś zapomnienia rzeką,
bym łatwiej mógł pamiętać zapach trawy.

Już kroki tamtych dni odeszły tak daleko,
nie odczaruję ich gałązką własnej krwi,
choć właśnie cały świat ukryłem pąd powieką
i czuję każdy dech upływających dni.

Niech czuwa inny czas, mój okręt w kraj nieznany
popłynął, w inny wiatr porwały mnie obłoki
i jestem jako nów, co jeszcze nienazwany
ma spełnić się u niespokojnych okien.

Rozmowy z polskimi marynistami (XIX)

Rejsy morskie i lądowe

SZCZECIN, w maju 1949

Tego dnia byłem po raz drugi na odczycie Fiedlera. Tym razem jednak nie chodziło o autora, lecz o słuchaczy. Do południa bowiem były to szczecińskie gimnazjalistki, teraz robotnicy rolni. Oczywiście sala była pełna, podobnie jak i przedpołudniem i na ogół podobna reakcja słuchaczy na poszczególne fragmenty odczytu, przedstawiającego kilkunastoletnie podróże autora po egzotycznych morzach i lądach. Ale dyskusja była inna. Nie pytano już autora, czy umie mówić po murzyńsku ani czy Meksykanki są ładne czy brzydkie. Robotnicy stawiali bardzo rzeczowe i interesujące pytania. Nieoczekiwanie wystąpił spośród słuchaczy jegomość, wcale na robotnika nie wyglądający i zarzucił autorowi, że w książce p. t. „Dziękuję ci, kapitanie" przedstawił jego właśnie, byłego dyrektora największego przedwojennego przedsiębiorstwa żeglugowego, bardzo niesprawiedliwie, niemal jako czarną postać. Wśród słuchaczy zapanowała konsternacja i zaciekawienie. Rzadki to bowiem wypadek, że autor wywołuje mimo woli jak ducha jakąś żywą postać ze swej książki i pokazuje ją czytelnikom. A tu jeszcze postać ta skarży się, że ją potraktowano niesprawiedliwie. Wprawdzie w tym wypadku była to postać fragmentaryczna, nieistotna dla książki, niemniej jednak wymieniona przez Fiedlera pod nazwiskiem. Nic dziwnego, że uwaga sali była napięta, a oczy szczecińskich robotników przyglądały się z uwagą przedwojennemu dyrektorowi, przed którym drżeli ich towarzysze z przedwojennej Gdyni, i autorowi, który z właściwym mu poczuciem humoru odczytał odnośny fragment swej książki i odwołał się... do sądu zebranych na sali słuchaczy. Przeczytany fragment, przedstawiał jeden z „figli" bohatera opowieści morskich, Rocha, który pozostając przez pewien czas bez pracy, przystawał przed wejściem do potężnego gmachu Żeglugi Polskiej i codziennie grobowym głosem, witał pojawiającego się dyrektora — „Dzieńdobry, panie komandorze-dyrektorze".

Te nałogowe powitania barczystego marynarza o posępnym spojrzeniu tak prześladowały gdyńskiego potentata, że kazał czym prędzej przydzielić Rochowi pracę, aby nie widzieć jego posępnej sylwetki i nie słyszeć grobowego głosu.

Oczywiście nic tu nie ma obraźliwego, a sylwetka byłego dyrektora jest nic nie znaczącym epizodem. Sala przyznała więc jednogłośnie rację autorowi, a nie rzekomo skrzywdzonemu potentatowi gdańskiemu.

Tego samego dnia wieczorem rozmawiałem, po trzecim już odczycie, z autorem „Dziękuję ci, kapitanie" o wspomnianym wydarzeniu.

— Czy wszystkie postacie występujące w „Dziękuję ci, kapitanie" są autentyczne?

— Wszystkie — przytakuje Fiedler — mimo że tylko dwie czy trzy z nich noszą swoje prawdziwe nazwiska, podobnie jak i jeden ze statków. Oczywiście nie myślę o tej, która dziś zgłosiła swoje żale. Ta występuje zupełnie przypadkowo, fragmentarycznie. Myślę o postaciach, które odgrywają w mojej książce zasadniczą rolę. Postanowiłem jednak w następnym wydaniu zmienić i te nazwiska na fikcyjne. O autentyźmie bowiem wydarzeń czy postaci nie decydują nazwiska ludzi czy nazwy statków, lecz trafnie uchwycony sens opisanych zjawisk. Oczywiście marynarze naszej floty handlowej odczytywali łatwo te zmienione nazwiska i umieszczali je pod właściwym adresem, ale dla ogółu czytelników była to sprawa obojętna. Interesowały ich słusznie same sprawy. Weźmy na przykład postać takiego Rocha. Rzeczywiście istniał i istnieje taki marynarz, bardzo popularny na naszych statkach handlowych. Płatał niezliczone figle, dowcipne lub mniej dowcipne. Była to jakaś jego mania, dla której gotów był poświęcić wszystko i często igrał przez to z życiem. Jeżeli jednak umieściłem go w mojej książce, to z innego względu. Ów Roch jest bowiem, jakby cząstką naszej historii morskiej, jest może nawet czymś więcej: jakby zarodkiem legendy. Przecież ten Roch tłucze się bezustannie w setkach marynarskich opowieści i żyje dobitnie w wyobraźni naszych kubryków i mess, pokładów i mostków. Tak chyba lęgną się wszystkie legendy, wielkie i małe. Zapewne, wyda się to może rzeczą nieco upokarzającą i nieco wstydliwą, że tylko takie, wypaczone i sowizdrzalskie miałyby być początki jednej z naszych morskich legend, lecz może — uzasadniona to wątpliwość — nie było czasu na lepszą i czekać wypada na inną, głębszą, dojrzalszą syntezę.

Arkady Fiedler na ulicach Szczecina

Wiadomo, że w naszych pierwszych krokach na morzu nie wszystko było w porządku. Roiło się tam od zgrzytów, fermentów, błędów i nadużyć szczególnie w stosunkach między człowiekiem a człowiekiem. Ten stan rzeczy został niejako siłą bezwładu przeniesiony i na okres wojenny. Mimo bohaterstwa naszej marynarki handlowej, mimo zdrowego patriotyzmu, było też w niej dużo niesprawiedliwości społecznych. Otóż — czy ów niepozorny w owych wielkich wydarzeniach Roch nie był przypadkiem swoistym protestem zdrowego instynktu przeciw tej naszej niedoskonałej rzeczywistości? Czy w zapamiętałej naiwności jego figli nie tkwił może bezwiedny bunt zbiorowego, zranionego sumienia? Może właśnie dlatego było tyle Rochowej popularności wśród marynarzy. W „Dziękuję ci, kapitanie" starałem się więc o uchwycenie nie przypadkowych, ulotnych wrażeń, lecz o wyrażenie pewnych typowych i charakterystycznych zjawisk, jakie dane mi było przeżyć w owym historycznym dla nas momencie dziejowym.

Czy mi się to udało, to już inna sprawa.

— A jakie miał Pan relacje z wrażenia, jakie wywarła ta właśnie książka wśród marynarzy?

Fiedler uśmiecha się.

Różne, bardzo różne. Marynarze to grupa ludzi, żyjąca bardzo swoistym życiem i reagująca dość swoiście na sądy o ich życiu. Na ogół nie lubią oni ludzi z lądu, którzy podpatrują ich życie i przedstawiają je na swój sposób. Marynarzy bardzo to irytuje. Toteż źle mi wróżono po ukazaniu się „Dziękuję ci, kapitanie". Szczególnie straszono mnie właśnie tytułową postacią mojej książki, kapitanem Czarneckim. Lecz o dziwo! — jak się później dowiedziałem, właśnie ów kapitan przyjął moją książkę jak najlepiej. Co więcej — dochodziły mnie wiarygodne słuchy, że pod wpływem opowiadania o swej przygodzie — zmienił się, stał się w obejściu z ludźmi serdeczny. Zrozumiał, że wzruszenie i słowa starego Chińczyka szepcącego „dziękuję ci, kapitanie" rzeczywiście otwarły dlań świat niepomiernej wagi, świat wdzięczności i miłości ludzkiej, przed którymi tak broniła się jego szlachetna, lecz szorstka, jak zmarznięta gruda, dusza kapitańska. Czyż może być dla autora większy triumf, większa radość jak ta świadomość wpływu na czyjeś losy?

— W jakich warunkach powstała ta książka? — pytam z zaciekawieniem.

— W maju 1942 roku rozpocząłem półtoraroczne blisko rejsy po kilku morzach, przede wszystkim po Atlantyku na statkach polskiej marynarki handlowej. Pływałem jako „przyczepny marynarz", przyglądając się życiu i warunkom pracy naszych załóg, przerzucałem się ze statku na statek, słuchałem niezliczonych opowieści o bohaterskiej walce naszej marynarki i w ten sposób zdobyłem materiał, który złożył się na treść książki „Dziękuję ci, kapitanie". Dużo pomogła mi w tym pewnego rodzaju „zaprawa" morska z poprzednich moich podróży. Mam bowiem za sobą 8 większych wypraw zamorskich, nie licząc drobniejszych jak rejsy na Martynikę, do Palestyny czy Norwegii. Byłem więc dość „otrzaskany" z oceanami, morzami i statkami.

— W jednej książce wspomina Pan o swym ojcu jako o wielkim romantyku i świetnym znawcy przyrody, który zaszczepił w Panu marzenia o podróżach i wędrówkach po świecie. Czy były jeszcze inne przyczyny, które — jakby się wyraził London — skierowały Pana na szlak Wielkiej Przygody: od porohów i wirów Dniestru do puszcz brazylijskich i kanadyjskich?

— Inne przyczyny?... W każdym człowieku drzemie w większym czy mniejszym stopniu tęsknota za dalą. U mnie rozbudził ją przede wszystkim ojciec. Kiedyś, gdy miałem cztery czy pięć lat, ojciec poprowadził mnie poprzez ciemny, puszczykowski las na niezwykłą polanę, pełną kwiatów i słońca. Widocznie odblask tego wrażenia wywarł na mnie jakiś nieprzeparty urok, bo odtąd marzyłem o takich polanach, na których rośnie jeszcze bujniejsza trawa, promienie słońca są jeszcze gorętsze aniżeli w puszczykowskim lesie. Ojciec podsycał te marzenia, brał mnie stale ze sobą na wszystkie wycieczki, szczególnie nad brzegi Warty, gdzie rosną rogalińskie, potężne dęby. Wówczas opowiadał mi o egzotycznych puszczach, o olbrzymich rzekach tropikalnych, układał ze mną plany wspólnych wypraw do egzotycznych krain. Takich marzeń nie rozpętuje się bezkarnie. Musiały znaleźć potem ujście w namiętnej żyłce do podróży, w ciekawości do innej aniżeli polska przyroda. Nie jeździłem jednak nigdy dla samego włóczęgostwa czy wrażeń. Zawsze miałem na oku jakiś materialny cel, mianowicie zdobycie zbiorów przyrodniczych, które przekazywałem potem polskim muzeum. W czasie wojny moje poznańskie zbiory zaginęły, natomiast szczęśliwym trafem zachowały się zbiory przekazane muzeum warszawskiemu.

— Czy ojciec Pański był tylko przyrodnikiem czy też częściowo literatem?

— Właśnie i jednym i drugim. Za młodu był dziennikarzem, potem przeszedł na graficzne rzemiosło, stając się chemigrafem. Jego literacka żyłka objawiała się w osobliwy sposób, wywołując zgorszenie wśród zamiłowanych do systematycznej pracy i urzędów Poznaniaków. Ojciec będąc już właścicielem zakładów graficznych w Poznaniu, miał ambicje wydawnicze, skupiał wokół siebie stale wszelkiego rodzaju brać artystyczną i literacką, planował z nią coraz to nowe czasopisma literackie i książkowe i oczywiście — w Poznaniu przed pierwszą wojną światową! — stale na nich bankrutował. Nie złamało to w nim tej pasji i wciąż od nowa wydawał i redagował. Z tego klimatu zaczerpnąłem niewątpliwie dużo skłonności do literackiego szukania wyrazu dla mych wrażeń.

— Kiedy odbył Pan swoją pierwszą większą wyprawę zamorską?

— Umiem odpowiadać na takie pytania „na pamięć", ponieważ powtarzałem je chyba kilkadziesiąt razy na poznańskich odczy-

(Dokończenie na stronie 3)

STEFANIA SZEWCZYKOWA

OPOWIEŚĆ

NASZYJNIK EGIPCJANKI

Jeszcze w gimnazjum, w którym szczególną opieką i grzecznością otaczano uczniów z genealogią i pozycją społeczną — Antoni odznaczał się wyjątkowymi zdolnościami, szybką orientacją, pamięcią, starannością przygotowanych lekcji i rysunków. Dzięki temu udało mu się przejść przez maturę, choć droga do niej była trudna ze względu na robotnicze pochodzenie, w owych czasach uważane za coś, co się traktuje z pogardą i litością. Antoni, wyjątkowo urodziwy młodzieniec, o strzelistej budowie ciała, regularnych rysach, o oczach zielonych jak świerki i ciemnych włosach — pałał żądzą poznania wiedzy i kultur świata. Pasjonowała go szczególnie historia i prawo, czytał wiele i namiętnie. Był chlubą rodziny, której ojciec był murarzem, a matka, wyżej socjalnie stojąca od męża, córką urzędnika gminnego w małej wiosce. Drugi brat, pozbawiony tego polotu, raczej spokojny i łagodny, od dziecka interesował się maszynami, elektrycznością. Antoni odziedziczył po ojcu pewną świadomość klasową, a po matce inteligencję i romantyzm serca. Nurt świata rwał nim, uczył się języków i marzył o Paryżu. Wiedział, że tam kuje się myśl świata, że smak wolności stamtąd powiewa, a wyzwolone socjalnie człowieczeństwo ma najwyższy wyraz w literaturze francuskiej. Marzył o Paryżu. Wiedział, że jego epitet „wywrotowca", jaki mu jeszcze w gimnazjum dano — przez studia i środowisko uczyni z niego przywódcę nowoczesnej myśli socjalistycznej, a zgłębienie „Kapitału" Marksa — pomoże popchnąć los klasy robotniczej, z której się wywodził, w lepszą przyszłość. Polska pobrzękiwała mu szabelkami oficerków, sanacja cuchnęła kłamstwem małej kliki, trzymającej w ręku władzę drapieżnie i mocno. Kochał zlepioną potem i pracą klasę robotników i przeżywał bohatersko, a jednocześnie boleśnie manifestacje pierwszomajowe, na których tanio i odświętnie ubrani robotnicy, z czerwonymi szmatkami krawatów wychodzili na uczczenie swego święta, kończącego się rozruchami i aresztowaniami. Widział walkę i bunt, nadzieja zakwitła w sercu, a myśl pracowała intensywnie. Światopogląd jego wyrzynał się z socjalistycznych lektur, a pogłębiał się jeszcze bardziej, gdy w szkole odczuł różnice klasowe. Widział, jak tępi synalkowie lekarzy i dyrektorów, pchani wszystkimi siłami, obkuwani przez korepetytorów, czekali, by zająć stanowiska ojców, majątki i władzę. Podczas wakacji obserwował chłopów, którzy wyciskali ziemię w pocie czoła, w pośredniej drodze sycąc kieszenie kupców. Słońce, które w wieczornym zachodzie oblewało ziemię, wydawało mu się krwią roszoną przez chłopów, których plecy zginało niewolnictwo i nędza. Myślał i zawsze do jednego dochodził: Wszystko, czym człowiek jest, jego myśl i swoboda, jego uśmiech i zdrowie, kultura i dobroć wypływają z socjalnego położenia i wychowania. Piękność królów i okrucieństwo tyranów, pycha władzy i uciemiężenie ludu, drapieżna walka o materialne wykorzystywanie żywiołów natury — wszystko wywodziło się z pnia socjalnej nieświadomości. Jak ongiś etyka, chcąc zapobiec złu, stworzyła mistycyzm, na którym próbowano robić interesy, a w rezultacie nie zmieniła położenia człowieka, nie odejmując mu ani jednej troski i wyzysku, tak wielka nauka socjalna była jedyną potężną tamą, wstrzymującą żarłoczność Molocha i nędzę mas.

Po długich rozmowach, obawach i sprzeciwach, Antoni wyjechał do Paryża za jedyny posag matki w formie sprzedanych paru morgów żyznej ziemi. Brat matki, stary kawaler, ongiś karczował lasy w Ameryce i na starość wrócił do Polski z zaoszczędzonymi dolarami; on też zobowiązał się pomagać w studiach Antoniemu. Słyszeli, że Paryż to miasto albo dla rozpustnych kobiet albo dla geniuszów. A czy ich syn?... No tak, zdolny i mądry, lecz iluż takich zjeżdża z całego świata, Murzyni, Chińczycy, Egipcjanie, Anglicy, wszyscy oni myśleli, że zostaną sławnymi, a przeważnie łamali swój los i swe ambicje dość szybko...

Uczył się pilnie, choć nauka na najlepszym uniwersytecie świata nie szła mu łatwo. Poza historia i prawem czytał namiętnie Marksa w wielkiej sorbońskiej bibliotece, a studiując tę wielką wiedzę, tak niebezpieczną dla możnych tego świata, wiedział już, dlaczego nie jest ona wykładana w ramach innych nauk, Była zbyt postępowa i zbyt obnażająca tajniki burżuazji, która dla siebie stworzyła wszystko, począwszy od cudów architektury, a skończywszy na pięknych cackach, ustawianych w wytwornych pokoikach, podporządkując sobie przez pieniądz to, czego pragnęła ich wygoda, estetyzm, smak i władza. Na to oczywiście potrzebowali niewolników, niewolników wieśniaczych i robotniczych. Robili wojny i fabryki, nacjonalizmy i kolonie. Umysłowość jego krzepła w tej wiedzy, a choć warunki, w jakich ją nabywał, były ciężkie i gorzkie, nie opadał na siłach. Po trzech latach zasiłki się skończyły. Wujek zmarł i w żaden sposób pracowity murarz nie mógł swego syna w Paryżu kształcić. Młodszy brat kończył szkołę techniczną, przebijając się z trudem do dyplomu.

Wybuchła wojna, na którą poszło wielu. Antoni, młody, śmigły chłopak z dalekiej północy, podobał się czarnym, przewrotnym Francuzeczkom. Zaczęły go bałamucić i pieszczotliwie nazywać „Toni"... W tym czasie, smutnym czasie strachu i walki — Antoni jako student kelnerował w jadłodajni studenckiej — chroniąc się zaledwie przed głodem.

W bibliotece poznał pewną młodą Egipcjankę, córkę dyplomaty, mimo swej świeżej młodości — doświadczoną i znudzoną. Studiowała języki, raczej z nakazu, niż z ochoty. Antoni podobał jej się, w świerkowe jego oczy zanurzała swe zamglone egzotyczne spojrzenie. Zaczęła mu delikatnie pomagać, gdy zorientowała się, że przeżywa on los wszystkich studentów Quartier Latin. Zwiedzał z nią lokale nocne i smakował wino francuskie. Z początku czuł się jak zawstydzone, złe dziecko, walczył ze sobą, trzechletnia wiedza i siła w wytrwaniu, wizja idei, o którą walczył i która miała być jego przyszłością i sensem, narzucała mu się, wywoływana wewnętrzną treścią. Ale wschodnie oczy śniadej kobiety, wykwintny zapach jej pielęgnowanego ciała, dwa bicze czarnych jak noc warkoczy osłabiały go. Młodość krwi i nieznany smak miłości wkradły się w jego serce. Dla kobiety miłość była tylko sztuką techniczną, toteż rzuciła go dość szybko, przekonawszy się, że ją nudzi i nie daje upojenia jej zmysłowej, gorącej naturze. Widywał ją czasem, nosiła oryginalny naszyjnik, jakby z monet, na których wykuto artystyczne hieroglify. Obraz jej wrył mu się w pamięć po przez ten naszyjnik, pod którym płonęło ciało wyrafinowanej kochanki. Może w monetach tych widział przekleństwo, a może potęgę, którą chciał zniszczyć, a która tymczasem jego niszczyła. Szamotał się całymi tygodniami, wszystkie książki i grube dzieła stanęły martwym jałowym drukiem, czuł pustkę i tęsknotę, niepokój wrzynał się w serce. Spalonymi ustami całował poduszkę, w której odnajdywał ślad jej głowy. Zamilkło w nim wszystko, co ongiś go rozmarzało i pchało do pracy. Szarpany namiętnością, spadłą tak nieoczekiwanie i wcześnie, urzeczony egipskim naszyjnikiem, targał się w cierpieniach jak zraniony dzidą łoś.

Przypomniał sobie wiersz Rimbauda o Paryżu, o prostytutkach i syfilitykach, o sprośności miłości i potędze złota. Zachwycił go płomienny cynizm poety.

— Niczym jestem, ale gdybym miał wiele pieniędzy — byłbym wszystkim. I spojrzał po raz pierwszy pożądliwymi oczyma na Paryż. Luksusowe kobiety i apartamenty, piękne powozy, wyścigi i hazard, opera i Moulin Rouge, koncerty największych geniuszów muzycznych, sława, nazwisko, pieniądz i zaszczyty. Cóż mnie obchodzi gromada cuchnących potem nędzarzy i płodzących dzieci? Jedynie własne odczucie i własne życie jest najdroższe i najrealniejsze. Palmy, oazy i złoty piasek kalifornijski, wzgórza nadreńskie i fiordy norweskie: obraz natury i luksus cywilizacji — oto wartość i cel wędrówek człowieka...

Snuł się po Paryżu, przeżywając wiele miłostek. Kobiety lubiły go, czuły w nim delikatną i smutną uczuciowość; różne dziewczęta o lekkim obyczaju i dobrym sercu pomagały mu i uczyły miłości. By całkowicie nie mieć opinii awanturnika i niebieskiego ptaka, robił korekty w dziennikach i grał w szulerniach, od czasu do czasu wygrywając drobne kwoty. Stracił ochotę do studiów i pracy, podzielając los tysiąca wyrzutków paryskich, których urzekła i żmiażdżyła namiętność i zmysłowy wyraz luksusowego miasta. Czasem jeszcze kamracił się z ubogą cyganerią artystyczną, która pisała, malowała i gadała, czekając na sławę i pieniądze. Marzyli i głodowali, wyzywali na cywilizację i burżuazję — w biedzie ze sobą sympatyzując, w sukcesie — nienawidząc się nawzajem.

Bombowce szumiały nad Europą, obozy kłuły drutami kolczastymi, komory syczały gazem, przetwarzającym człowieka w dym, cisza grozy rosła, a „Toni", zagubiony w namiętności — smykał się bez celu, zadowolony, gdy otrzymał kostkę cukru i parę franków za korektę. Myślał o rodzinie w Polsce. Ale jakże on tam wróci, z czym? Fizycznie nie potrafił pracować, zawodu skończonego nie posiadał. Tyle lat... Rodzice starzy i siwi, brat ma już własne życie i pracę, cóż po mnie.

Świtem, gdy wracał od miłości lub nocnej korekty, czerwień wschodzących promieni oblewała miasto, nadając mu wyraz uśpionej potęgi i tajemniczego uroku. Stare wiedźmy, ongiś zarabiające nocami, dziś o ciałach popsutych starością i chorobami — grzebały po podwórkach, wyławiając odpadki zgniłych owoców i jarzyn; stróże i włóczęgi o twarzach przeżartych starością i chytrością, cała ta społeczność wypluta z dna nędzy, wzbudzała w nim obrzydzenie, zlewające się mimowoli z obrazem pracujących wieśniaków, których również widział po przez zachodzące krwią słońce.

— Cóż ja mogę, cóż?... Chcę żyć. Gdzież ja jestem? W nicości marzeń i pragnień? Życie ma smak łzy. Słone i bolesne.

Szarpał się w sobie, uciekając w urok cynicznej i nihilistycznej poezji. Słyszał przy tym delikatne dzwonienie naszyjnika Egipcjanki, monety z hieroglifami mieszały się z wizją zmysłowego żywiołu i władzy nad światem...

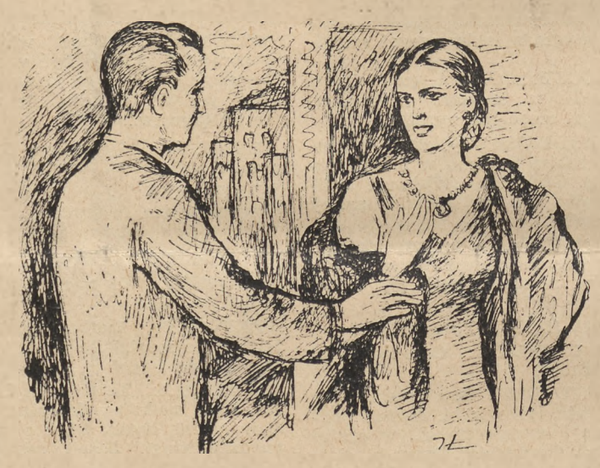

JAN KOPROWSKI

PROSTE

Ludzi, którym życie upływa w ciągłej pracy fizycznej, literatura ma, oczywiście, niemałe znaczenie. O ileż ważniejsza jednak jest dla nich praca i jej konkretne osiągnięcia.

Tę starą prawdę uświadomiłem sobie w kilka dni po przybyciu do gospodarzy Kowalskich w miejscowości P. na Ziemiach Odzyskanych. Dom Kowalskich stał na wzgórzu, skąd rozciągał się piękny widok na całą okolicę.

Gospodarz przyjął mnie po prostu, tak jak przyjmuje się człowieka, którego się zna i przybycia jego od dawna się oczekuje.

— Nazywam się Kowalski — powiedział wyciągając do mnie rękę. A oto moja żona.

Przywitałem się z jego żoną, siedzącą obok pieca na ławie. Podkładała drwa do ognia. Na kuchni syczała gotująca się woda i perkotał garnek z kartoflami. Przez duże okna widać było zmierzchający się świat.

Gospodarz poprowadził mnie na górę. Na schodach zatrzymał się chwilę mówiąc: — Ja tam nie lubię „panować" i nie lubię jak mnie „panują". Mówmy sobie na wy.

— Chętnie — odpowiedziałem. — W codziennym życiu jest to o wiele wygodniejsze.

Pokoik, do którego zostałem wprowadzony, był mały lecz schludny. Sprzętów było niewiele. Łóżko, stół, szafa, dwa krzesła — to i wszystko.

— Tutaj będzie wasze mieszkanie — powiedział Kowalski. Możecie sobie teraz odpocząć a jak kolacja będzie gotowa, zawołam was na dół. — Podziękowałem mu za to, mówiąc, że wcale nie jestem głodny, chętnie natomiast położę się do łóżka, bo po tej długiej podróży bolą mnie wszystkie gnaty.

— No, to jak tam uważacie.

To rzekłszy gospodarz odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia. W drzwiach obejrzał się jeszcze.

— No to życzę wam dobrej nocy. A jutro to już tam zobaczymy — odpowiedział. Zamknął cichutko drzwi i przez chwilę słychać było na schodach jego ciężkie kroki.

Szybko zrzuciłem z siebie ubranie i położyłem się do łóżka, żądny snu jak głodny żądny jest chleba. Przymknąłem oczy, chcąc jak najrychlej zasnąć. Lecz sen, jak to zwykle w takich wypadkach bywa, wcale nie nadchodził. Wrażenia i przeżycia ostatnich dni dopominały się o swoje, nie dawały mi zasnąć. Bo też wszystko, co zaszło, było tak niespodziewane i osobliwe, że nie zdołałem zdać sobie całkowicie z tego sprawy.

Jeszcze kilkanaście dni temu tłukłem się po ulicach Paryża. Przechodziłem pod Łukiem Triumfalnym o zachodzie, patrząc na rozlane na asfaltowej jezdni resztki krwawego słońca. O tej porze ludzi tu było niewiele.. Czasami szedł ze mną syn Kowalskiego — Szczepan. Poznany przypadkowo w metro paryskim, przylgnął do mnie i ja do niego. Polubiliśmy się. Chodziliśmy nieraz po Paryżu, przesiadywaliśmy na ławeczkach Ogrodu Luksemburskiego wspominając przeszłość.

Ja mieszkałem w Paryżu od dawna. Przyjechałem jeszcze przed wojną na studia. Wojnę i okupację przeżyłem we Francji przerzucając się z miejsca na miejsce w obawie przed szponami gestapo. Po oswobodzeniu Paryża udałem się tam niezwłocznie.

Szczepan dostał się do Francji, po wojnie uchodząc z Niemiec, gdzie jako jeniec wojenny przebywał w zadrutowanym obozie od 1939 roku. Nasze niedawne losy były przedmiotem naszych mów.

Ale pewnego razu (było to w tym czasie, gdy zdecydowałem się na powrót do kraju) rozmowa nasza potoczyła się inaczej niż zwykle.

— Wiesz — powiedział Szczepan — Otrzymałem list od ojca.

— I cóż ci piszą? — spytałem bez zbytniego zaciekawienia.

Zamiast odpowiedzi Szczepan podał mi kartkę papieru, zapisaną krzywym jak sierp pismem. List był krótciutki i oprócz kilku skąpych wiadomości zawierał nawoływania do powrotu. Co się tam będziesz tłukł po świecie — pisał ojciec Szczepana. Wracaj do domu. Tu będziesz miał chleb i robotę.

— To pewnie wkrótce wrócisz do Polski? — zapytałem oddając mu kartkę.

— Nie. Nie wrócę wcale. Przykro mi o tym mówić, ale to już postanowione.

Wiedziałem, że Szczepan ma jakieś emigracyjne zamiary, ale nigdy nie brałem tego poważnie. Trudno byłoby bowiem brać poważnie emigracyjne bagienko. Prowadził jakieś interesy, handlował, zwąchał się nawet z jakąś Francuzką. Mówił, że się kochają i że pewnie się z nią ożeni. Na pytanie, co potem, odpowiadał zwykle: może pozostaniemy we Francji, może wyjedziemy do Ameryki, to się jeszcze zobaczy.

Ale teraz tym zdecydowanym postanowieniem Szczepana byłem, jak się to mówi, zastrzelony.

—No więc jakże do ciężkiej Anielki — próbowałem niby to żartować. Więc nie wrócisz do domu? Przecież ojciec cię tam potrzebuje!

— Może mnie i potrzebuje, ale ja nie potrzebuję ojca. Jestem dorosły i mam już dość tej ojcowskiej opieki.

Milczenie, które po tych słowach nastąpiło, przerwał nagle sam Szczepan.

—Ale wiesz co, mam świetną myśl. Ty wracasz do Polski, prawda?

— Wracam.

— I nie masz tam nikogo?

— Mam kilkoro wujów i ciotek.

— Jak masz wracać do ciotek, to już lepiej wracaj, bracie do obcych. Otóż proponuję ci, abyś pojechał do nas, do mojego starego.

Przyjmie cię z otwartymi ramionami jak swego, jak mnie. Będziesz pracował w gospodarstwie a sam mi przecież nieraz mówiłeś, że chciałbyś jakiś czas pobyć na wsi, zdala od wielkomiejskiego zgiełku.

— Tak, to prawda — odpowiedziałem. — Chciałbym odpocząć duchowo a taki odpoczynek daje tylko praca na wsi. Ale tak ni stąd ni zowąd do twojego ojca? Co on na to powie?

— A nic nie powie. Ucieszy się i tyle. Ja zresztą do niego napiszę. Powiadomię go o wszystkim.

Po powrocie do domu na rue de Monceaux myśl ta nie dawała mi spokoju. Nie mogłem się od niej opędzić jak od muchy. Rozważałem możliwości mojego wyjazdu do ojca Szczepana na Ziemie Odzyskane. Takie wyjście z sytuacji było mi ogromnie na rękę, ponieważ upraszczało całą sprawę mojego powrotu. Wujów musiałbym dopiero szukać. Wypędzeni z Warszawy w czasie powstania, osiedlili się gdzieś na Lubelszczyźnie, ale Bóg raczy wiedzieć, jak ich tam odnaleźć.

Po kilku dniach rozmyślań i walk z samym sobą wszystko było jasne jak niebo nad Paryżem. Nie miałem już żadnych wątpliwości. Wiedziałem: pojadę do Kowalskich i tam rozpocznę moje nowe życie.

II.

Mój pierwszy dzień w gospodarstwie zaczął się pomyślnie. Już od rana świeciło słońce. Patrząc na ten jasny i pogodny świat radowałem się po prostu jak dziecko. Po śniadaniu gospodarz wyszedł ze mną na dwór i począł zapoznawać mnie z obejściem i zagrodą.

— Musicie wiedzieć, gdzie się co znajduje, bo jak nie daj Boże zachoruję albo co , sami będziecie wszystkiego doglądać.

Obejrzałem stajnię, oborę, króliczarnię, drwalkę, gdzie leżały poukładane siekiery, piły i przeróżne inne narzędzia, zapoznałem się z robotą w sieczkarni i na polu.

Dzień minął mi szybko, Ani się obejrzałem, jak słońce przetoczyło się na drugą stronę nieba i zaczęło chować się za góry.

W miarę jak upływały dni, wszystko szło mi coraz składniej. Rżnięcie sieczki dla krów, orka w polu, pojenie koni, rąbanie drew dla kuchni — wszystko stało się rychło trwałym przyzwyczajeniem. Zdawało mi się, jakbym nigdy nic innego w życiu nie robił.

Nie mogę powiedzieć, aby mi się u Kowalskich działa krzywda. Dbali o mnie, nie osóbkowali się wcale. Jadaliśmy przy wspólnym stole. Gospodyni obrzucała mnie przyjaznym spojrzeniem a gdym wracał nieraz z pola spracowany, smażyła mi nawet jajecznicę.

Gospodarz zdawał się być również zadowolony. Tyle, że mało mówił. Ale w naszej robocie niepotrzebne były słowa. Każdego ranka wychodziliśmy z domu w milczeniu — każdy do swojej roboty. Gdy była orka, jechaliśmy razem w pole. Ja wkładałem pług na furę, gospodarz zaś wprzęgał konie. Pole rozciągało się poza płotami zagrody. Było tego kilka morgów i najdalsze połacie leżały w odległości trzech kilometrów od domu. Jechaliśmy Gospodarz cmokał na konie, ja rozglądałem się po okolicy, która

Rys. Janusz Łonicki

PARYSKA

ŻYWIOŁY

W roku 1948, kiedy w Paryżu szalały strajki, kiedy wznosiły się ponure pomruki tłumu, opierającego się inwazji dolarowej Ameryki i jej polityce, Antoni dostał pewnego dnia list od brata, który na kilka dni miał przyjechać z Polski z delegacją robotników i fachowców technicznych. Miał list w ręku i drżał dziwnym wzruszeniem. — B r a t... odległe uczucie, o którym już dawno zapomniał — łopotało w nim jak ptak nagle schwytany w ręku człowieka...

Michał, jakim cudem tu w Paryżu... I co on chce, co ja mu powiem.

Bał się tego spotkania, a jednocześnie pragnął uchwycić daleką smugę dawnego życia.

— Może będzie miał trochę pieniędzy — myślał praktycznie. Ale cóż mnie może jeszcze łączyć z tym prostaczkiem od maszyn i elektryczności? Nie posiada on w całej głowie tego, co ja mam w jednym palcu. Przeżywałem i czytałem, a on?

Z góry drażnił go już prowincjonalnym zachowaniem, wąskim widnokręgiem umysłowym.

— Czy człowiek ten ma pojęcie o życiu i kulturze? O walkach i intrygach, które rzucają światem jak piłką?...

Analizował brata, jakby chcąc z góry przesądzić spotkanie, które miało być niczym innym, jak tylko spotkaniem obcych sobie ludzi, przypadkowo pochodzących z jednej rodziny i kraju.

Wyszedł po niego na dworzec, choć trudno było przedzierać się przez strajkujące tłumy i rozdrażnioną policję, która pałkami gumowymi panowała nad demonstracjami. Udzielił mu się nastrój gorączkowego wyczekiwania i nagle ten zjawiający się ni stąd ni zowąd brat był mu nieznośnym obowiązkiem. Lubił swobodę, nie cierpiał jakichkolwiek więzów. Nie znosił krytyki i wtrącania się do jego życia.

— Niech no mi tylko nie próbuje moralizować... ale nie, gdzież by on mnie śmiał... — wyrównał pierwszą obawę.

Zobaczył większą grupę i posłyszał język polski. Nawoływali się z podnieceniem; wyłuskał szukającym spojrzeniem wysoką postać brata, tak zewnętrznie podobnego do niego. Miał szary garnitur, widocznie odświętny i zawadiacko nałożoną czapkę; uśmiechnął się do Antoniego z ogromną radością i niemal dopadł go, miażdżąc w uścisku ramion.

— Cóż to za familiarność — wzdrygnął się, oddając jednak uścisk.

— Antoś... ależ tyś się zmienił. Tak wydelikatniałeś na twarzy. Czyś aby zdrowy? Co robisz, czemu nie wracasz; matka i ojciec wyglądają ciebie całe lata — mówił nieprzerwanie, jakby w ciągu tej jednej minuty chciał wszystko powiedzieć, co stało się przez długie, długie lata rozłąki. Obejrzał się na swoją grupę, podbiegł do niej, wymienił parę zdań o jutrzejszym spotkaniu i wrócił do brata.

— No to cóż, chodźmy do mnie — rzekł Antoni.

Wstydził się, że pokaże bratu swój nędzny pokoik w hotelu, że nie może mu zaimponować jakimś wspaniałym apartamentem.

Musieli iść pieszo, bo kolejki podziemne strajkowały. Michał, oglądając miasto i tłumy, rozprawiał o wydarzeniach rodzinnych, ale wkrótce zamilkł, jakby nań padł mroźny cień milczenia Antka.

— Cóż on nie chce mnie znać? A może nie ma zwyczaju rozmawiać na ulicy? — pocieszał się.

Antoni rozgrzał się, gdy Michał w pokoiku wyjął ze swej wielkiej walizy polskie kiełbasy, ciasta, matczyną ręką przygotowane, cukier, pieczoną cielęcinę, puszkę skumbrii, papierosy.

— Czy u was łatwo to można nabyć?

— Jak pracujesz? Pewnie. Wcinaj, ja nie jestem głodny i przywiozłem dla ciebie. Od rodziców.

— A co ty właściwie robisz i jakżeś się tu dostał? Przecież Rosja nie wypuszcza nikogo.

—Ale, wyjeżdża wielu ludzi. Tylko oczywiście nie puszczają tych, co wyjeżdżają, żeby mącić albo zbijać majątki... A przed wojną wyjeżdżali tylko ci, co forsę mieli.

— Mądrala — pomyślał Antoni.

— Ja... — tu Michał spojrzał z dumą na siebie samego — ja, widzisz, bardzo szybko i chętnie przyswoiłem sobie tak zwaną „nową rzeczywistość". Pracowałem nad silnikiem odrzutowym. To jest, mówię ci, wspaniała rzecz. Chodziło o to, by zrobić taki silnik, czy to w motorach, czy w mechanicznym rowerze, by był o wiele mniejszy, niż dawne, a miał o wiele większą siłę. Po długiej pracy osiągnęliśmy to na spółkę z pewnym inżynierem, który tu również jest teraz w Paryżu. A potem, Antek, pamiętasz tę wieś, gdzieśmy z matką jeździli na wakacje? Lubiłeś rozmawiać z tamtejszymi chłopami. Otóż wyobraź sobie, Antek — tu nieoczekiwanie uścisnął brata — ja tę wieś zelektryfikowałem. Wszędzie teraz światło, nawet w oborach. A chłopom teraz zupełnie inaczej się powodzi, niż kiedyś.

— Słuchaj, Michał, a czy wierzysz w to wszystko, co się tam u was dzieje?

— Czy nie można wierzyć w pracę? Jak Niemcy odeszli, wszystko było zniszczone. Gdybyś ty widział Warszawę po powstaniu, a dziś... Wydaje się masę książek, przeprowadza się wiele akcji oświatowych, a kto się chce uczyć, może swobodnie się kształcić. Polacy zawsze się boją nowych rzeczy. Umieli tylko robić powstania, cierpieć i chlubić się szlachetnym bohaterstwem. Dzisiaj uczą się pracować i poznawać ekonomię. Starszym, którzy nie lubią zmian, ciężko się jest pogodzić, ale my, młodzi...

Spojrzał na Antoniego. Teraz dopiero dostrzegł jego bardzo wytarty garnitur i apetyt. Jadł cały czas, gdy Michał rozprawiał. Rozejrzał się uważnie po pokoju, ale nie zauważył ani jednej rzeczy, która by mogła go interesować, czy cośkolwiek powiedzieć o Antku.

— Słuchaj Antek, a ty?... — zapytał trochę nieśmiało.

— Ja? Hm... no cóż ja? Skończyłem Sorbonę, jestem doktorem nauk ekonomicznych — kłamał — i chcę jeszcze zrobić jeden fakultet...

— A gdzie ty pracujesz?

— Ja? Na uniwersytecie. Mam bardzo poważną naukową pracę.

— Dlaczego ty nie chcesz wrócić. Pracy po uszy. Może mógłbyś pisać do gazet, jakieś reportaże z fabryk, świetlic...

— Nie jestem dziennikarzem, pociąga mnie zupełnie innego rodzaju praca. Jeżeli będę pisał, to tylko wielkie dzieła, które obiegać będą cały świat...

Michaś przypatrywał mu się uważnie. Wyraźna sieć zmarszczek rysowała mu się wokół oczu.

— Nie jest już taki młody — myślał — a ciągle chce się uczyć i uczyć. Zbzikuje od nauki.

Antek czuł jakąś wrogość do tego człowieka, który wygłaszał rzeczy proste w sposób tak łatwy, a on pracował tyle lat, by zdobyć wiedzę o nich. Rzucił nawet słowo „ekonomia". Cóż sobie ten smarkacz nie myśli. Zresztą nie obchodzi mnie to, co robi. Jest to po prostu zdolny spryciarz, który zarabia na swoich umiejętnościach technicznych. Nawet do Paryża potrafił się wkręcić... Powąchał trochę komunizmu i teraz mędrkuje.

Michał, obserwując brata, doznawał dziwnego uczucia obcości. Antek miał w sobie jakiś daleki świat, którego on nie zna i nigdy chyba nie pozna. A może za wiele się uczył!? Tylko czemu dziś ta wiedza nie służy innym? Wygląda na biedaka. Często poczesywał z lekka łysiejące włosy. Czy on tak chce podobać się kobietom? — gubił się w ciągłej zagadce, którą był jego brat. Antek mało mówił. Żuł zazdrość i pogardę. Mieli dla siebie jeszcze cały wieczór, ale nagle wydało im się, że męką będzie go znieść. Pewna przyzwoitość rodzinna wymaga serdeczności i wspólnoty tematów, tymczasem zaległa między nimi cisza, która szczególnie krępowała Michała. Była to cisza obcych sobie serc i myśli. Antek widział delikatną sieć żyłek, rysujących się na czole Antka.

— O czym on tak stale myśli?... — zastanawiał się. — Może czegoś potrzebuje...

— Słuchaj, czy masz może jakieś troski i życzenia? — próbował poruszyć brata.

— Nie, jestem zadowolony, że żyję sam. Niepotrzebna mi ani rodzina ani żadna pomoc.

Michał, choć czuł hardość i obrazę w tych słowach — dostrzegł jednak oczy powleczone nagle smutkiem i delikatną ironią. Gdyby choć mógł uchwycić jedno szczere słowo, jedno zwierzenie. Kochał swego brata, choć mało go znał i widział ostatni raz, jako ledwo dorastający chłopak. Matka i ojciec stale o nim mówili, dawniej z wielką dumą, ostatnio z troską, którą taili, ale którą Michał wyraźnie wyczuwał.

Michał podszedł do okna i uchylił firankę. Przez zapadający mrok jarzył się Paryż. Strzeliste wieże rysowały się na tle granatowego nieba, neony pieniły się kolorowymi światłami, wybuchały i gasły, znów pisząc na nowo reklamę kabaretów, trunków i konfekcji. Paryż... tonął w tym słowie wielkiej tajemnicy. Tajemnicy buntu i myśli, pieniądza i piękna. Biedny Antek... po cóż mu było potrzebne to miasto? Wykształcony i mądry a taki zagubiony, jak robaczek świętojański w lesie — myślał poetycznie o bracie. Chciałby go widzieć innym, silnym, szczerym, dokonywającym realnych rzeczy, ale nie mógł się oprzeć uczuciu bojaźni, jakie w nim budził własny brat.

Obrócił się i zobaczył pochylone plecy brata nad stołem. Coś pisał. Szybkimi ruchami robił jakieś znaczki i kreski na marginesie długiego, wąskiego, zapełnionego drukiem — arkusza.

— Czy może pisze to swoje wielkie dzieło — pomyślał z szacunkiem?

— Ach, nie, na razie robię korektę — odpowiedział Antoni nerwowo na głośną myśl Michała.

Mała lampka na stole sączyła zielonawe światło, przy którym twarz Antoniego wyglądała staro i mizernie. Inteligentne spojrzenie oczu Antka mówiło o tragedii życia i nigdy nieosiągniętych celach, które ongiś miał i powziął.

— Antoś, wróć do Polski...

— Za późno... To co chciałem uczynić, uczynili inni. Straciłem smak do tego, w czym ongiś lubowałem się.

— Przecież tu też pracujesz. Tylko dla kogo?

— I tak zawsze będę tylko pracował dla siebie. Obojętnie zatem, czy pracuję tu w Paryżu, czy u was... A Paryż... — rozmarzone spojrzenie pełne jeszcze utajonej iskry życia, rzucone w stronę okna, odsłoniło Michałowi jakąś ukrytą pasję, namiętność, w której jednak szybko ujrzał smutną klęskę biednego marzyciela.

— Wyjeżdżam za parę dni. Mam spotkania z robotnikami francuskimi i polskimi, którzy mają wrócić do kraju. Cóż, narody szukają wspólnego języka i porozumienia. A to mogą osiągnąć tylko przez solidarność i walkę, pracę i zgodę. Ciężki deszcz amerykańskiego złota za parę lat może uczynić z nas niewolników, po jakimś czasie rozszarpanych przez nowe bomby, gdy okaże się, że niewolników jest za dużo i chcą się wyzwalać. Powinieneś wrócić i pracować tam, gdzie ta praca jest potrzebna i oceniona — powiedział silnym głosem, wyjmując z walizki ręcznik i przybory do mycia...

Michał już dawno i mocno spał, gdy Antoni rzucał się niespokojnie na łóżku, od nowa przeżywając swe życie. Ciągle jednak nie mógł znaleźć realnej ścieżki życia. Myślał o kulturach i wojnach, psychologii i władzy, nasycając każdy obraz i wizję filozoficznymi uwagami, cynizmem i uwielbieniem dla wielkości i małości mózgu ludzkiego.

— I cóż ten Michaś... dziecko mularza, symbol nowoczesnej cywilizacji, mięśni i przemyślności technicznej. Nic nie wie, nic, nic...

Żywioł myśli łoskotał w nim jak morze wezbrane wiatrem i burzą. W półśnie waliły się na niego dźwigi, kominy, olbrzymie maszyny; turbiny wyły mieszając się z wyciem tłumu. Reminiscencje strajku i zapalone entuzjazmem słowa Michała o silnikach odrzutowych. Czuł na twarzy grad ciężkiego złota i napięte muskuły Michała, który piął się po słupach, by chłopi mieli światło. Przerażony i zmęczony wstał. Michał obudził się i w ciemności obserwował chodzącego po pokoju brata.

Czy powziął jakąś decyzję? Czy wydźwignie się i nabierze sił? — drżał z emocji.

— Nie śpisz — powiedział.

— Już idę, głowa mnie trochę boli. Jutro muszę wstać wcześniej, by iść do drukarni. Przypuszczam, że przed odjazdem zobaczymy się jeszcze — powiedział chłodno.

— Nie, chyba już dla niego nic nie można zrobić. Dał się porządnie obić przez życie...

By usnąć i stłumić przygnębienie, myślał o jutrzejszym spotkaniu. Wpadł w żywioł realnych planów i zamiarów. Wkrótce usnął, uspokojony...

Stefania Szewczykowa

WŁODZIMIERZ ŻELECHOWSKI

Powrót z meczu do Katowic

Miłowymi krokami zbliża się wieczór
Dymią mu przyjaźnie fabryki przedmieść i miast.
witają go z ulgą bukietami płomieni huty.
Od bram sportowego stadionu płyną tłumy
a rozgadane lokomotywy czerwonych pociągów
prychają setkami gwiazd
na pergaminie zmierzchu pisczących się jak nuty.

Gąszczem podmiejskich trawisk pełza rosisty powiew.
Na żółtoniebieskim horyzoncie, na tysiąc i jedna milach
topi się bursztynami — złotem rażące szkliwo.
Od sosnowych zalesień przemyca się w miasto
upragnione zdrowie
a patrzącemu w lasy i w niebo,
wydaje się chwila romantycznie szczęśliwą.

Wyniosła wieża fabryczna, groźna jak zamek na szczytach
zapięta na wszystkie guziki swych płomiennych okien
wzywa z daleka wypoczęte dłonie:
Odejmcie trud towarzyszom. Nocna szychta na zmianę.
W twarde ręce uchwycony płomień
wybuchnie hymnem pracy
po nocnym chłodzie nad ranem.

Rejsy morskie i lądowe

(Dokończenie ze strony 2)

tach i zapewne będę powtarzał na pomorsko-zachodnich. A więc w 1928 roku wyjechałem do południowej Brazylii, gdzie przebywałem blisko rok. Powróciłem potem, po przeszło 4 latach, nad Amazonkę. Rezultatem tych dwóch wypraw są moje książki: „Wśród Indian Koroadów", „Zwierzęta z lasu dziewiczego" i „Ryby śpiewają w Ukajali".

— A Kanada?

— W Kanadzie byłem w roku 1935. Na odmianę, po gorącej puszczy tropikalnej „zafundowałem" sobie zimną puszczę kananadyjską. Byłem tam jednak tylko 5 miesięcy, bo — przepraszam za wyrażenie — cholernie drogo musiałem bulić za ten pobyt. Jeździłem zaś wszędzie na własny koszt. Ale za to napisałem „Kanadę pachnącą żywicą".

— Potem wyjechał pan na Madagaskar?

— Tak. Lata 1937 i 1938. Przez dwa lata szukałem żarliwie na tej wyspie, oprócz egzotyki folklorystycznej, etnograficznej i przyrodniczej, śladów po Beniowskim. Niestety nie ma ich zupełnie, nawet w legendach. Jeśli się je na Madagaskarze spotyka, to tylko w szkolnych podręcznikach francuskich i nazwach nadawanych przez władze francuskie ulicom w niektórych miastach dla uczczenia tego niezwykłego polskiego podróżnika i awanturnika. Z Madagaskaru przywiozłem najbogatsze zbiory zoologiczne i dwie książki: „Radosny ptak Drongo" i „Jutro na Madagaskar".

— A potem?

— Na pół roku przed wojną wyjechałem na Tahiti, słynną wyspę na Pacyfiku. Tam zaskoczyła mnie wojna. Zaciągnąłem się do szeregów wojska polskiego we Francji, stamtąd wywędrowałem z częścią armii polskiej do Anglii. Rezultatem pobytu w Anglii jest „Dywizjon 303".

— Podobno książka ta osiągnęła rekordową ilość wydań?

— Rzeczywiście, jak na polskie stosunki, jest to liczba rekordowa. Osiemnaście wydań, z tego dziesięć w językach obcych. Ale największy zaszczyt, jaki mógł był spotkać literata, tworzącego wówczas, podczas wojny, na obczyźnie, polegał na czym innym. W roku 1943 książka ta dostała się za pomocą zrzutów spadochronowych do Polski i tu doczekała się kilku wydań podziemnych.

— Czy podczas wojny odbył Pan jeszcze jakąś podróż, niezależnie od tych, które posłużyły Panu do książki „Dziękuję ci, kapitanie"?

— Tak. Na pół roku przed zakończeniem wojny udałem się po raz drugi w mym życiu do Kanady. Ale już nie miałem czasu na napisanie opowiadań z tego kraju. Skończyła się wojna, wróciłem więc do Ojczyzny.

— A po wojnie?

— Wyjechałem na blisko rok do Meksyku. Zebrałem tam interesujące materiały do nowej książki. Kiedy ją skończę? To trudno określić. Opracowanie materiałów zajmie mi chyba 10 do 12 miesięcy. Dlatego na razie nie projektuję nowych wyjazdów.

— Ma Pan jednak jakieś plany na przyszłość?

Fiedler zamyśla się na chwilę.

— Plany? Oczywiście. Myślę o Indonezji, gdzie rozgrywa się wielki dramat wyzwalania się rasy kolorowej z wielowiekowej niewoli, narzuconej przez białą rasę. Niedawno temu przedstawiciel republiki Indonezyjskiej w Londynie zachęcał mnie nawet do tego wyjazdu... Poza tym... Wie Pan gdzie się znajdują wyspy Galapagos?

Fiedler rysuje na skrawku papieru Amerykę Południową i na równiku, od strony Ekwadoru, kilka punkcików.

— Te punkciki, to właśnie wyspy Galapagos, zwane także Wyspami Żółwimi. Leżą na samym równiku. A teraz kilkaset tysięcy mil morskich w dół, o tu, na samym krańcu Ameryki Południowej, niedaleko już samej Antarktydy zaczyna się pewna „historia", która mnie bardzo interesuje. Proszę sobie wyobrazić olbrzymi prąd wód, które płyną gdzieś od tego właśnie krańca Ameryki Południowej, wzdłuż wszystkich jej brzegów, aż do wysp Galapagos. Ten prąd wód niesie z sobą co roku olbrzymi, fantastyczny plankton, za którym i w którym płynie, żywiący się nim przedziwny ciąg wszelkiego rodzaju wzajemnie pożerających się ryb, a za rybami i nad rybami ciągną tysiące rozmaitego ptactwa morskiego. I to wszystko wędruje razem od samej niemal Antarktydy do wysp Galapagos. Niesamowity rejs, jedno z fascynujących zjawisk przyrody! Oto powód, dla którego chciałbym odbyć ten rejs do Wysp Żółwich. Ale to sprawa dalekiej jeszcze przyszłości. Mam natomiast „na oku" coś znacznie realniejszego i bliższego. Mianowicie chciałbym odbyć rejs dalekomorski z naszymi rybakami pływającymi z Bałtyku na Morze Północne i dalej, wzdłuż południowych brzegów Norwegii, w pogoni za ławicami śledzi. Rejs może mniej romantyczny aniżeli ten tropikalny do Galapagos, ale za to jakże nam bliski! Temat tym ciekawszy, że dotyczy nie tylko przyrody, ale i ciężkiej polskiej pracy. Temat ujęty jakby w jeden cykl, mający wyraźny początek, punkt kulminacyjny i zakończenie. Ale wie Pan, co mnie na razie odstrasza od tego rejsu? Po prostu zimno. Czuję się fatalnie w zimnym klimacie, natomiast świetnie w gorącym i tropikalnym. Trudno, nie jestem już tak młody, jak wówczas, gdy płynąłem do „Kanady pachnącej żywicą", czy „Ryb śpiewających w Ukajali".

Rozmawiamy jeszcze długo o podróżach i książkach. Ale „cicerone" autora, szczeciński inspektor działu oświatowego „Czytelnika", niecierpliwi się i przypomina autorowi jutrzejszy, wczesny wyjazd w teren. Jest już późno, więc Fiedler wstaje i zawiesza na ramieniu jak karabin swoją wielką, w rolkę złożoną, mapę własnych podróży po lądach i morzach, którą się posługuje przy odczytach. Nie zatrzymuję przemiłego autora najpopularniejszych chyba w Polsce książek. Wiem, że czeka go od jutra rana 10-dniowy „rejs" po kilkudziesięciu wiejskich ośrodkach bibliotecznych, po szkołach i miasteczkach Pomorza Szczecińskiego. A to ważniejsze aniżeli nasza rozmowa.

Rozmowę przeprowadził
Stanisław Telega.

ŻYCIE

dziwnie przypominała mi południowe tereny Francji. Przywykłem do tego naszego milczenia i było mi z nim dobrze. Gospodarz mój nie był człowiekiem wścibskim, nigdy mnie o nic nie wypytywał. Pozornie mogło się wydawać, że życie moje wcale go nie obchodzi. Mówię: pozornie, bo nieraz gdym tak patrzył na jego twarz niezauważony, wydawało mi się, że jest zupełnie inaczej. Że chętnie zapytałby mnie o niejedno. Czemu tego nie czynił? Nie wiem. W każdym razie zachowaniem swoim nie zdradzałem nigdy, że coś przeczuwam lub że podpatruję jego nieuchwytne miny i gesty.

Zachowywałem się tak, jakbym nic nie widział, niczego nie podejrzewał, jakby mnie to nic a nic nie obchodziło.

W rzeczywistości jednak byłem bardzo ciekawy, o czym mój gospodarz ciągle myśli.

Wieczory spędzałem zwykle sam. Albo na górze w moim pokoiku albo w pobliskim lesie na spacerze. Las tu był piękny, pachnący. Z gór staczał się po ostrych głazach wartki strumień. Cały ten pejzaż wpływał na mnie ogromnie kojąco i wdzięczny byłem Szczepanowi za skierowanie mnie w te strony.

Mimo, iż miałem książki i czasopisma, na czytanie w okresie letnim nie było czasu. Dzień na wsi nie ma wtedy początku ni końca. Kiedy wstawało się rano, inni już pracowali; gdy schodziliśmy z pola, inni zostawali jeszcze pochyleni nad czarną szeroką ziemią. To życie tutaj, ta ziemia i ludzie uczyli mnie jakiejś pokory wobec pracy. Nikt tu nie mówił, że praca jest piękna. Albo mówili, że jest ciężka i niewdzięczna, albo nie mówili nic i w tym milczeniu kryło się źródło ogromnej woli i siły.

Nie ciągnęło mnie, o dziwo, wcale miasto. Tęskniłem jedynie za książką tak jak tęskni się za matką, albo za zbyt piękną, bo nieprawdziwą podróżą.

III.

Tego dnia od samego rana gospodarz mój był dziwnie niespokojny. Niby tak „na oko" wszystko odbywało się jak zawsze, jak codzień. Zjedliśmy wspólnie śniadanie, po czym wyszliśmy na podwórze, gdzie stały już konie i wóz gotowe do wyjazdu. Mieliśmy jechać do lasu po drzewo, jak to już nieraz bywało. Dzień był pogodny. Powietrze pachniało łąką i świerkami.

Ale w tym wchodzeniu gospodarza na wóz zaznaczył się tego dnia ów niepokój. Wskoczył szybko i usiadł nerwowo na słomianym siedzeniu. A zwykle wchodził na wóz wolno, stojąc na orczyku opukiwał dłonią kłonice, patrzył na konie, na świat, potem siadał na słomie i kręcił wolniutko papierosa. Dziś wcale nie zapalił. Strzelił z bata, powiedział szorstko „wio, małe" i konie ruszyły z miejsca.

Siedząc obok niego patrzyłem na powstający do życia dzień. Nad głowami przelatywały nam ptaki, listki drzew doskonale już rozwinięte szeleściły w porannym wietrze a strumień spadający z gór po ostrych głazach huczał jak młyn. Ludzie śpieszyli do swoich zajęć, gospodarz zatrzymał konie i równie szybko jak wlazł zeskoczył z wozu. Nakładaliśmy kloce na wóz w milczeniu. Ręce nasze pachniały żywicą.

Dopiero gdy wóz napełnił się klocami, gospodarz wyprostował krzyż, odsapnął i usiadłszy na starym pniu począł kręcić papierosa. Potem spojrzał na mnie ukradkiem i rzekł jakby od niechcenia:

— We Francji toście pewnie tego nie robili?

— Ano nie. Nie było okazji. Lasy były daleko.

Gospodarz zapalił papierosa, zaciągnął się i wypuszczając kłęby z ust powiedział nie patrząc na mnie:

— Lasy to tam pewnie inne niż u nas?

— Nic podobnego. Takie same.

Gospodarz urwał kosmyk trawy i bawiąc się nim palił z widocznym upodobaniem papierosa.

— No a ziemia tam też taka sama?

— Naturalnie.

— I tak samo ją uprawiają?

— Tak samo.

— A ludzie?

— Tacy sami jak wy. Tyle, że mówią innym językiem.

Gospodarz mruknął coś pod nosem i po dłuższej chwili zapytał:

— No to pocoście tam jechali do tej Francji, skoro wszystko tam takie same jak u nas?

— Ano cóż, człowiek młody, ciekawy jest świata i ludzi.

Chciałem mówić dalej, ale gospodarz podniósł się z pnia rzucił niedopałek papierosa, zadeptał go dobrze nogami i wsiadając na wóz powiedział:

— No to pojedziemy.

Jechaliśmy tą samą drogą w milczeniu jak przedtem. Rozmowa w lesie wielce mnie zaskoczyła. Czułem, że gospodarz krąży dokoła jakiejś sprawy, ale że nie chce zapytać mnie wprost. lecz szuka punktu zaczepienia, od którego wywiązałaby się rozmowa naprowadzająca niejako sama na wszystko. Bo nie chodziło mu chyba o to, czy we Francji są takie same drzewa jak u nas i czy tam uprawiają ziemię tak jak my tutaj.

Coś się za tym kryje, to pewne.

Reszta dnia przeszła bez żadnych wydarzeń. Dopiero przy kolacji gospodarz zwrócił się do mnie z zapytaniem, co mam zamiar robić wieczorem.

— Chyba zostanę w domu — odpowiedziałem.

— Chciałbym tam zajść do was na górę, ale nie wiem czy wam nie przeszkodzę.

— Ależ nic podobnego. Przyjdźcie zaraz po kolacji.

Tak się też stało. Zaraz po kolacji gospodarz zastukał do drzwi mojego pokoiku. Wszedłszy nie od razu powiedział z czym przychodzi. Usiedliśmy przy oknie. Ciekawość paliła mnie wielka, ale starałem się czekać cierpliwie i o nic go nie nagabywać. Gospodarz tymczasem mówił o gospodarstwie, o żonie, o swoich troskach, narzekał na bóle w krzyżu i w nogach. Słuchałem z udanym zainteresowaniem, kombinując co może się kryć za tymi jego słowami.

Zrobiło się zupełnie ciemno. Wstałem, by zapalić światło.

— Nie palcie — odezwał się gospodarz. Będzie mi łatwiej.

Wróciłem na powrót pod okno, za którym chybotały szeleszczące drzewa i krzaki. I wtedy w ten pokoik pełen zmierzchu padły słowa gospodarza:

— To mówicie, że Szczepan nie wróci?

Nie wiem jaką miał w tej chwili minę, bom nie widział jego twarzy. Ale głos mu drżał. Nigdy mu o tym nie mówiłem, że Szczepan nie wróci. A i on sam nigdy ze mną na ten temat nie rozmawiał. Powiedział jak mu samo wypadło, jak było łatwiej.

— Mówił mi kilkakrotnie, że nie wróci a ostatni raz powiedział mi o tym na dzień przed moim wyjazdem. Zresztą chyba pisał do was.

— Hm... A co on tam robi w tej Francji?

— Pracuje.

— A gdzie?

Tutaj poczułem się w kłopocie, sam bowiem dobrze nie wiedziałem, czym się właściwie Szczepan zajmuje.

— Sam, wiecie, dobrze nie wiem. Gdzieś w jakimś sklepie ma udział, czy coś podobnego.

— A ożenił się już?

— Nie. Ale ma zamiar. Poznał młodą Francuzkę i mówił, że bardzo się kochają.

— A ładna chociaż?

— Nie widziałem jej, ale pewnie tak. Francuzki są ładne.

Gospodarz umilkł. Zapanowała długa kłopotliwa cisza. By coś robić, bębniłem palcami po stole. Zmierzch wieszał się na szybach jak nietoperz.

Gospodarz odezwał się nagle:

— Mówiliście, że drzewa tam takie same jak tutaj, że tak samo orzą, że ludzie nie inni i kościoły pewnie takie same. To czego on tam szuka? Czemu nie wraca? Tu jest przecie cały świat. Tu u mnie w moim domu, na moim polu, w mojej zagrodzie. Gdzie on taki chleb znajdzie jak u nas? Taki dom, podwórko, ogród? Czemuście mu nie wbijali do głowy, żeby tamto wszystko porzucił? Czemu z wami nie przyjechał?

Po co jemu Francja, Ameryka? Po co jemu Francuzka? Mało to tutaj dziewuch? Myślicie, że on nie będzie tego żałował? Czego on tam szuka w tym świecie? Pieniędzy? U mnie ma pieniądze. Składałem dla niego, boć to przecie jedynak. Żeby mu niczego nie brakowało. Żeby miał lepszą młodość niż ja. Dlaczego on tam siedzi? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Gospodarz podniósł się z krzesła i po omacku poszukał mojego ramienia. Położył na nim swoją dłoń i powiedział głosem pełnym łez:

— Czemu wy nie jesteście moim Szczepanem?

JAN KOPROWSKI

Prasa w oparach sensacji

(Dokończenie ze strony 1)

dziewczyny rewolucjonerki. Uwięzili ją Hiszpanie i groziła jej kara śmierci. Ten chłopak domyślił się, że ja się chętnie godzę na przedłużenie skandalu, i namówił młodych literatów Leron Skotty, autora powieści „Sekretarz Profsojuza" i jego towarzyszy z „Klubu pięciu", aby wzięli udział w sprawie. Okazało się jednak, że nie mogą wziąć „udziału w sprawie", ale przenieśli mnie do klubu, do kwatery, gdzie mieszkało „komuną" pięciu początkujących literatów i gdzie prowadziła gospodarstwo żona L. Skotta, rosyjska Żydówka. Co wieczór, w obszernym przedpokoju klubu, zbierali się przed kominkiem młodzi pisarze, przychodzili reporterzy, a ja opowiadałem im o ruskiej literaturze, o rewolucji, o moskiewskim powstaniu, (N. E. Burenin, członek bojowej organizacji CKb, żona Skotta i M. F. Andrejew — tłumaczyli moje słowa na język angielski). Dziennikarze słuchali, zapisywali i wzdychając z widocznym współczuciem, mówili:

— To diabelnie interesujące ale — nie dla naszych gazet.

Pytałem, dlaczego te gazety nie mogą zakomunikować czytelnikom prawdy o wydarzeniach, które może są zapowiedzią przyszłości nowego wieku?

Przyjmowali moje pytanie jako czysto osobiste. Powiedzieli mi:

— My wszyscy jesteśmy po waszej stronie, ale nie możemy pomóc wam. Wy tu nie znajdziecie i nie zarobicie pieniędzy dla rewolucji. Gdy prasa ogłosiła, że prezydent Roosevelt ma was przyjąć, do sprawy się wmieszał poseł moskiewski, i wasza sprawa przepadła... Nie pozwolą wam tu pracować dla rewolucji".

— A dlaczego pozwalają Breszkowskiej?

Na to pytanie odpowiedzieli milczeniem. Omylili się. Okazało się bowiem, że pracować mogłem, ale zdziałałem mniej niż przypuszczałem. (Zresztą to nie należy do dzisiejszego artykułu).

Podczas dalszych zebrań dziennikarze przedstawili mi potęgę prasy Nowego Jorku. A oto dowody: jedna z gazet podała do wiadomości, że pewna bogata i wpływowa filantropka utrzymuje kilka domów publicznych — wiadomość ta zrobiła wielką sensację. Po dwóch dniach ta sama gazeta zamieściła portrety 25 policjantów i oznajmiła, że to oni są organizatorami tajnej prostytucji, a nie zacna i powszechnie szanowana pani.

Zwolnili ich ze służby, zabezpieczywszy ich odpowiednio. Znajdą pracę w innych stanach.

Drugi wypadek: Trzeba było skompromitować jednego senatora. Wydrukowano w gazecie, że źle żyje ze swoją drugą żoną, że jego dorosłe dzieci są na noże z macochą. Sprostowanie podane przez starca i jego dzieci gazeta zamieściła, ale jednocześnie — wyśmiała. Dom, w którym mieszkał senator otoczyli reporterzy.

Maksym Gorki

Wśród CZASOPISM

Dwie utarczki: pierwsza z Cameroobskurzystą jako ze strzelcem zza płota, druga z p. ph, jako autorem pewnych guścików.

Nie dołączę się do ogólnego chóru biadań na upadek krytyki literackiej w Polsce po wojnie, na posuchę recenzencką, która sprawia że książki wartościowe miesiącami a czasem i latami czekają na omówienia, że często spotykają się z omówieniami bezwartościowymi lub nie spotykają się z nimi w ogóle.

Taki stan rzeczy niewątpliwie istnieje, mimo, że ostatni rok przyniósł już w tym zakresie pewną, nieznaczną poprawę. Poprawa ta postępować będzie dalej w miarę, jak wchodzić będą w życie literackie nowe grupy wykształconych już po wojnie polonistów przygotowanych nie do zawodu nauczycielskiego, lecz do pracy literackiej. Uniwersytety w Krakowie, Łodzi, Wrocławiu i Warszawie mają już takie grupy.

Natomiast zamierzam podnieść głos protestu przeciwko niektórym nieprzyzwoitościom krytycznym ludzi piszących, przeciwko chwytom nie fair i harcom nie bardzo przemyślanym i nie bardzo odpowiedzialnym.

Okazję do tego dają dwie pozycje z ostatniej prasy literackiej: „Camera obscura" z 19-go numeru *Odrodzenia* i „Przegląd prasy" pióra „ph" z 18-go numeru *Kuźnicy*.

Pozycje to z dwóch gatunków — jedna kpiarska i szydercza o dobrych tradycjach przedwojennych i powojennych, druga — trzeba powiedzieć — poważna, dająca oceny, do których należałoby przywiązywać pewną wagę. Ale mimo to sprawa ich dotycząca jest jedna.

Camerzysta *Odrodzenia* wybrał za przedmiot swojego szyderstwa powieść Wandy Melcer „Wyspa szczęścia". Nazwisko Wandy Melcer znane jest nie od dzisiaj. I znane nie najgorzej. Można nie być wielbicielem jej twórczości, można mieć o niej sąd krytyczny, ale awans tej pisarki do „Camery" musi zaskoczyć. I gdyby to jeszcze było jakieś potknięcie w felietonie, jakaś gafa w artykule, ale rzecz idzie o całą powieść, w dodatku o powieść wydaną ostatnio w dobie ograniczeń wprowadzonych przez plan wydawniczy i centralną gospodarkę papierem, a więc przepuszczoną przez filtr różnych ocen nie liczących się zupełnie z ewentualnym interesem wydawcy. Camerzysta wybrał z powieści Melcerowej dziewięć dłuższych i krótszych cytatów. Cytaty, co tu dużo mówić, są soczyste, nasycone erotyzmem bez niedomówień i osłonek, i to erotyzmem nie wysokiej klasy (mam na myśli naturalnie jego pisarskie, artystyczne opracowania). Cytaty owe przeplecione są odpowiednimi dosadnymi i szyderczymi komentarzami Camerzysty a rzecz cała kończy się propozycją, by zmienić tytuł książki na „Między dwoma samcami".

Nie znam książki Melcerowej „Wyspa szczęścia" i po przeczytaniu tego felietonu (zajął całą rubrykę „Camery") straciłem dla niej (może wbrew oczekiwaniu niektórych czytelników) zainteresowanie do reszty. Zdaje mi się jednak, że tą metodą z każdej powieści o intensywniejszej akcji erotycznej można zrobić pornografię. W „Dziś i Jutro" pewien proboszcz zrobił to z Gołubiewem, z przyzwyczajenia robi się to z Żukrowskim, w ten sposób urządzono powieść Stefana Kisielewskiego itd. Celowo dla przykładu przytoczyłem pisarzy katolickich, przy czym dziwię się, że jeszcze oszczędzono tu niektóre ustępy „Srebrnych orłów" Parnickiego. Dlatego jest to metoda niebezpieczna. A przede wszystkim w tej formie, jaką zastosował Camerzysta, brzydka. Bo tamtym pisarzom stawiano zarzuty w recenzjach i dyskusjach, natomiast Melcerową zaciągnięto na „oślą łąkę" i wystrofowano jak niegrzecznego uczniaka za głupi wybryk. Chodzi więc o rzecz zasadniczą: jeśli pisarz napisał złą książkę, jeśli pisarza tego nazywa się w dodatku „postępowym", to należy książkę jego omówić w sposób poważny, należy dać krytyczno-literacką ocenę i jeżeli książka na to zasługuje — ocenę surową. Ale wydaje mi się nietaktem poklepywanie autorki nie pierwszej już książki przez kogoś nieznanego i nieujawnionego per „pani Wando" i ośmieszanie jej wymyślnie skontruowanymi drwinami. Bo wszystko na milkę pachnie jakimiś osobistymi porachuneczkami.

Nie lepsze wrażenie pod tym względem robi wspomniany „Przegląd prasy" z *Kuźnicy*. *Ph* omawia tam miesięczniki literackie zaliczywszy do nich obok *Twórczości* także kwartalnik *Zeszyty Wrocławskie*. Omówienie jest naturalnie poważne, powiedziałbym, aż za poważne, gdyż *ph* ubiera togę jakiegoś najwyższego sędziego od spraw dobrej i złej poezji i feruje wyroki nie siląc się nawet dla przyzwoitości na powołanie się na jakiś paragraf kodeksu estetyki. A więc bardzo chwali wszystkie (nawet te najmniej ciekawe) pozycje 4-go numeru *Twórczości* a na końcu stawia sam sobie pytanie: „Co mi się nie podobało w tym numerze?" I zaraz śpieszy z odpowiedzią: „Przede wszystkim wiersze Szewczyka. Ale na to nie mam żadnego dowodu. De gustibus" ... Ale idźmy dalej. W *Zeszytach Wrocławskich* jest dla *ph* „mnóstwo rzeczy ciekawych", ale stanowczo razi go drukowana tam poezja i dział recenzji, gdzie „drukuje się wypowiedź Żukrowskiego o wierszach Jana Baranowicza czy też Pierzchały, ocenę wierszy Sztaudyngera w tonie i charakterze obalającym całkowicie naturalną i słuszną hierarchię literackiego smaku". W ciągu dalszych wywodów okazuje się, że owa hierarchia ma u *ph* wyłącznie podstawy porównawcze. Każe porównać wiersze Szewczyka z Pablo Nerudą, Flukowskiego z Miłoszem a innych porównań nie cytuje, bo musiałby wymieniać nazwiska przyjaciół. Szkoda, być może, zacytowałby i „Dwie podróże" Pawła Hertza jako wzór stojący na szczytach hierarchii smaku literackiego.

Tego przeglądu nie napisał żaden taki sobie felietonista. Napisał go poeta, prozaik, krytyk i esayista opatrujący swoje niektóre prace tytułami „Myśli o literaturze" itd... Przypuszczalibyśmy, że tego rodzaju pisarz ma poważniejsze kryteria niż porównywanie, że jeśli mówi „nie podoba mi się", to wie, dlaczego tak mówi, to potrafi to obiektywnie uzasadnić a nie wymiguje się oklepanką o gustach i guścikach. W całości jednak odnosimy wrażenie, że właśnie o te guściki chodzi. Ph jest tak pewny swoich guścików, że uważa się za uprawnionego do mówienia „nie podoba mi się" i wyciągania wniosku, że jeśli się jemu wiersz nie podoba, to jest to „zły wiersz". Ponieważ guścików *ph* nikt w Polsce nie zamierza i długo nie będzie zamierzał uważać za coś ciekawego i miarodajnego, proponuję mu schowanie ich sobie na użytek kawiarnianych plotek. Tam jest dla nich jedyne i najwłaściwsze miejsce. A jeśli coś pisze, to powinien wiedzieć, dlaczego tak pisze. Bo po co to pisał, to my wiemy. *(ki)*

Ilustrowana kronika teatralna

Teatr Miejski w Świdnicy wystawił Włodzimierza Perzyńskiego „Lekkomyślną siostrę" w reżyserii dyr. Wiktora Biegańskiego. Na zdjęciu od lewej Jolanta Skubniewska (Helena), Józef Pieracki (Henryk), Jadwiga Dobrzańska (Maria), Alina Dzierzbicka (Ada) i Krystian Tomczak (Janek)

Na inaugurację Roku Słowackiego na Wybrzeżu, Teatr Wybrzeża wystawił Słowackiego „Marię Stuart" w inscenizacji, reżyserii i z dekoracjami Iwo Galla. W roli Marii Stuart wystąpiła Krystyna Królikiewicz, w roli Botwela Ryszard Barycz

W Roku Mickiewicza i Słowackiego

PORTRETY

Adam Mickiewicz jako Jan Chrzciciel

Salomea Słowacka Bécu w roku 1848

Do honorowych zabytków dawnej plastyki naszej w Muzeum narodowym w Krakowie należą „Machabeusze" Wojciecha Stattlera, piękna, doskonale malowana kompozycja typowa dla epoki, w której treść literacka i wybór tematu decydowały o wartości, znaczeniu i wpływie utworu malarskiego.

Lecz któżby dzisiaj, patrząc na to czcigodne płótno, upadł na kolana w ekstazie i uwielbiał w nim „brzask różany kiedyś przyszłego malarstwa polskiego", któżby wobec tej dobrej lecz zimnej kompozycji akademickiej, „uczuł w niej prawdę życia własnego" i silił się przekonywać „zdziwionych Francuzów", że na taką jak ten Polak głowę, żaden z nich zdobyćby się nie zdołał!

Mickiewicz poszedł jeszcze dalej niż Słowacki, autor tych określeń. Zamianował Stattlera przewodnikiem, heroldem, Janem Chrzcicielem mającego się narodzić malarstwa romantycznego, kazał mu się przezwać Stańskim, podobnie jak Chopinowi Szopińskim. Ogłosił wszem wobec, że w tych właśnie „Machabeuszach" przyszło na świat wieszcze malarstwo polskie, siostrzana sztuka poezji wieszczej.

Młody i ambitny, poduczony we Włoszech rudymentów swego zawodu artysta, nie uległ, na szczęście, mistycznej omfaloskopii i poszedł drogą opartą na trzeźwym poczuciu swych możliwości. Utalentowany i biegły nazarejczyk, wyprodukował szereg płócien religijnych, zasłynął jako jeden z najbardziej romantycznych, w dobrym i złym sensie, portrecistów. Najżarliwiej oddał się jednak nauczycielstwu. Przez lat dwadzieścia pracował jako profesor malarstwa w krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych. Powodzenie miał wielkie. Któż nie przeszedł przez jego pracownię i korektę? I Matejko i Grottger i Andrzej Grabowski i Kotsis. Czy dużo mogli ci młodzi rewolucjoniści artystyczni skorzystać od czcigodnego już mamuta, którego przykazaniem był obowiązkowy szaro-brunatny sos i konieczny model z gipsu?

* * *

Stratą niepowetowaną dla naszej kultury artystycznej jest przepadek dwóch dzieł (może arcydzieł?) Stattlera, w które włożył on wszystko, co miał w swym talencie i kunszcie najlepszego. Dość powiedzieć, że chodziło o uwiecznienie obu opiekunów i protektorów, Słowackiego i Mickiewicza! Wspominając później w „Przypomnieniach starych znajomości", pisze Stattler: „Malując portret Słowackiego, dostrzegłem w jego spojrzeniu całą potęgę widzenia, a na ustach jego całą moc lania obrazami bez końca... W domu moim zostawił swoją moc działającą. Czułem, że nie byłem sam, że jest ktoś przy mnie do cudów stworzony... Jednym słowem, jednym spojrzeniem porywał za serce ... Serdecznego miałem w nim przyjaciela. Gdy podaliśmy sobie dłonie, czuliśmy obaj, że coś, jak elektryczność, magnetyzm, czy miłość przelewała się z dłoni w dłoń i układała do równowagi."

Z umiłowanym dziełem swoim nie rozstawał się malarz nigdy. Sam Słowacki, ujrzawszy ten portret, wyraził się, że „ma tam twarz bolesną", krakowski historyk sztuki i malarz Wł. Łuszczkiewicz, znający osobiście poetę, zachwycał się znakomitym podobieństwem, powieściopisarka warszawska Waleria Marrene-Morzkowska chwaliła „udatne wykonanie". A potem już nikt tego dzieła nie oglądał. Sprzedany zapewne na licytacji gratów, pozostałych po zmarłym w r. 1875 Stattlerze, przepadł bez śladu...

Jeszcze mniej wiadomo o Stattlerowskim Mickiewiczu. Portret ten powstać miał w Rzymie w dobie Wiosny Ludów. Był własnością księcia Jerzego Czartoryskiego. Nie pomyślano o jego zabezpieczeniu i reprodukcji. Zatracił się doszczętnie w niewiadomych rękach. Został tylko daleki błysk, szkic pomysłu ... Trzeba pójść do katedry na Wawelu, odszukać boczną kaplicę biskupa Jakuba Zadzika z wieku szwedzkiego potopu. Tam staniecie w obliczu wtórnej koncepcji pomysłu. W postaci Jana Chrzciciela ustylizował niedoszły wódz malarzy narodowych swego uwielbianego Protektora.

* * *

Trudno przypuścić, by szczęśliwy traf powrócił nam kiedyś zatracony portret Słowackiego. W drobnej mierze nagradza nam tę zgubę milutkie ołówkowe „bozetto", przedstawiając matkę jego w starości. A oto w jakich okolicznościach powstał ten portrecik.

Chyba żadna matka nie otrzymała od syna tak wcześnie i w formie tak ekstatycznej wiadomości o pierwszych kolejach żelaznych w Europie. O „powozach, z pary uwianych", ciągnionych przez konie, które „zamiast owsa węgle ziemne jedzą" — pisał Słowacki jeszcze w r. 1832 z Londynu w liście do najdroższej Sally. Egzaltowaną nad zwyczajną miarę sentymentalistkę ogarnęła już wówczas nieznośna obsesja żelaznego, apokaliptycznego smoka, który pędzi po szynach żelaznych, śmierdzi dymem inferalnym, błyszczy nocą parą jarzących ślepiów czerwonych. Obsesja nie opuszczała p. Bécu-Słowackiej w kaźni żytomierskiej, gdzie cierpiała za udział w spisku Szymona Konarskiego, a przetrwać miała lat wiele: aż do chwili, gdy na sygnał dany przez Wiosnę Ludów nadarzyła się możliwość pierwszego spotkania matki z synem po tylu latach rozłąki.

Opłacić ją wszakże wypadało ofiarą wielką, ponad możność i siły przewrażliwionej: powierzyć się opiece apokaliptycznego potwora, zdobyć się na heroizm i... wsiąść po prostu do wagonu kolei żelaznej! I kto wie, czy zdołałaby znaleźć w sobie tyle odwagi i odporności, gdyby nie — Wojciech Korneli Stattler, ten właśnie przez jej Julka admirowany malarz i najszczerszy jego w latach mistycyzmu przyjaciel.

Na oko rzecz wyglądała bardzo prosto: Z Krzemieńca przez Lwów, gdzie bliskich krewnych nie brakło, miała się pani Salomea udać w wygodnym dyliżansie do Krakowa. Stąd nowomodny a tak groźny potwór parowy na żelaznych szynach miał ją poprzez Mysłowice unieść na „debarkader" we Wrocławiu, gdzie Julek już czekał, Julek stojący kwaterą przy Bahnhofstrasse Nr. 5, u p. Stahlschmidta. Niefrasobliwa w początkach podróż miała swą Scyllę-Charybdę w Krakowie. I tu właśnie uproszony gorącymi zaklęciami Słowackiego Stattler miał jego matce pośpieszyć z pomocą. We wnętrzu wagonu kolejowego czyhał przecież... konduktor kolejowy, którego to spotkania obawiała się nerwowo pani Sally. I doprawdy warto odszukać wśród listów Słowackiego do Stattlera ten właśnie, którego nie mamy pod ręką i odczytać, w jakich, przepełnionych najwyższą troskliwością słowach zaklina poeta przyjaciela, by przygotował wrażliwą podróżnicę na tę ważną chwilę.

Stanąwszy w Krakowie wypoczęła pani Salomea dni kilka w gościnnym domu Stattlerów. Wtedy powstał ten staranny szkic do jej portretu, podany w niniejszym artykule a odszukany w r. 1897 przez gorliwego i szczęśliwego kolekcjonera pamiątek po Słowackim, Leopolda Meyeta. Złożony wraz z całą jego spuścizną w Bibliotece Krasińskich podzielił los innych skarbów stolicy naszej w czasie pożogi.

Przy troskliwej opiece i pomocnej dłoni Stattlera obie obsesje dały się przewalczyć. Konduktor kolei żelaznej, niegorzej od poczytliona dyliżansu opiekował się uspokojoną sentymentalistką. „Daruj mi Szanowny i Ukochany mój Wojciechu — pisał Słowacki 22 czerwca 1848 z Wrocławia — żem ci w pierwszych dniach widzenia się z Matką moją, nie napisał, o ile ci wdzięczen za nią jestem! Chwile te jednak milczenia nie były stracone. Matka moja, przenikniona czcią i wdzięcznością dla Ciebie, nie przestaje łączyć mnie i zapoznawać coraz ściślej z pięknym duchem, który ulatuje nad tobą i nad twoją rodziną." A ona sama dopisuje na końcu listu: „Szczęśliwa, że z synem moim jestem, pozdrawiam Was moi mili, moi drodzy".

Pokonawszy zwycięsko obsesję antychrysta w piecu żelaznym, nie zdołała matka Słowackiego ujść drugiej grozie, która nad nią w siedem lat później zawisła. Gdy w lipcu 1855 epidemia cholery zbliżyła się i do Krzemieńca, wystarczyło, że p. Bécu zjadła wieczorem trochę zimnego ryżu z konfiturą, aby nazajutrz wystąpiły u niej objawy strasznej zarazy. W 3 dni zmarła i nie pomogły wysiłki lekarzy, tak jak nie uratowały przedtem znakomitej pianistki, Marii Szymanowskiej, przyszłej teściowej Adama Mickiewicza.

T. Sz.

LIBUSZA

(Dokończenie ze str. 1)

strojna jak łan pszenicy. *przyciąga Libuszę)*

LIBUSZA: Zostaw, zostaw, poczekaj aż się ściemni.

FRYDERYK: Wtedy się śpieszysz, uciekasz.

LIBUSZA: Bo moim braciom śpieszno, żeby dostać jeść.

FRYDERYK: Bez ciebie Duszniki takie nudne, Libuszko. Chodzę, nudzę się i robię głupstwa. Chciałbym już pracować.

LIBUSZA: *(bierze jego rękę)* Pracujesz tymi pięknymi, maleńkimi rękoma? Z ciebie próżniak, Frycku.

FRYDERYK: Kiedy byłem małym chłopcem, wkładałem kołki między palce rąk na całą noc.

LIBUSZA: Na co, Frycku?

FRYDERYK: Żeby rozciągnąć rękę i móc brać akordy. To była męczarnia.

LIBUSZA: *(demonstrując na ręce Fryderyka)* Tak? Tak robiłeś?

FRYDERYK: Nic nie pomogało. Rano palce bolały, wcale nie mogłem grać.

LIBUSZA: Biedne rączki.

FRYDERYK: Biedne rączki. Jak śpiewnie wymówiłaś te słowa, Libuszo. Zabrzmiały, jak początek piosenki.

LIBUSZA: Znasz taką pieśń? *(stopniowo się ściemnia)*

FRYDERYK: Nie, nie znam ... A może znam? ... Cicho, posłuchaj.

LIBUSZA: Wiatr szumi.

FRYDERYK: Wiatr. Zauważyłaś, że wiatr gra inaczej na listkach brzóz, których łodyżki są długie i wiotkie, a inaczej na liściach dębu, osadzonych na mocnych i sprężystych szypułkach?

LIBUSZA: Nie myślałam o tym.

FRYDERYK: O widzisz, z listkami brzozy wiatr robi tak. *(lekko klaszcze palcami)* One dzwonią. A liście dębu falują, o tak *(kołysze stulonymi dłońmi)* Stąd szum, szuuum ..

LIBUSZA: A wierzby?

FRYDERYK: Ach, wierzby! Wierzby płaczą. Gryzłaś kiedy liście wierzbiny? Są gorzkie, jak łzy.

LIBUSZA: Skosztuję. *(zrywa gałązkę wierzbiny)* Wszystkie wierzby płaczą?

FRYDERYK: Żadne nie płaczą tak rzewnie, jak te, które rosną nad Wisłą. Chciałbym usłyszeć ich śpiew.

LIBUSZA: Tęsknisz?

FRYDERYK: Najbardziej wtedy, gdy zagra wiatr. Albo wówczas, gdy nocą usłyszę dalekie dźwięki wiejskiej kapeli. Wiesz, takie cieniutkie wywodzenie skrzypiec ... A basy bu-bu-bu, bu-bu-bu.

LIBUSZA: W pobliżu nie ma wsi. Tobie chyba tak w głowie gra, albo ... w sercu.

FRYDERYK: Może.

LIBUSZA: Pięknie umiesz mówić, Frycku. Podobnie mówił jeden poeta. Też leczył się w Dusznikach. Nasz, czeski.

FRYDERYK: Nie żyje?

LIBUSZA: Skąd wiesz?

FRYDERYK: Poznałem po smutku, którym zadrgał twój głos. Młody był?

LIBUSZA: *(patrząc w ziemię potakuje)*

FRYDERYK: Spotykałaś się z nim? Rozmawialiście?

LIBUSZA: On mówił, ja słuchałam ... Jak przy tobie. Czasem prosił, żebym śpiewała. Nikomu potem nie śpiewałam pieśni, którą lubił. Tobie zaśpiewam jeżeli chcesz.

FRYDERYK: Śpiewaj, Libuszko.

LIBUSZA: *(śpiewa po czesku)*

FRYDERYK: Ach, gdybym miał fortepian! Grałbym dla ciebie.

LIBUSZA: Strasznie ci się chce tego fortepianu. Wolałbyś fortepian niż mnie.

FRYDERYK: *(śmieje się)* Dziecko z ciebie, Libuszo. Co innego ty, co innego fortepian. Gdybym miał ciebie i fortepian, byłbym bezgranicznie szczęśliwy.

LIBUSZA: Jeśli bardzo chcesz Frycku, to zostanę dziś dłużej.

FRYDERYK: Libuszo! Naprawdę? *(obejmuje ją)* Naprawdę zostaniesz? *(chce ją pocałować, gdy zapala się światło w zakładzie zdrojowym, na scenie jasno)* Odejdźmy od domu, Libuszo. Dobrze? Chodź, chodź, pójdziemy na koniec alei. *(objęci odchodzą. Słychać akord fortepianowy, ktoś próbuje fortepianu. Fryderyk wraca)* Fortepian! Słyszysz Libuszo? Przywieźli fortepian. Poznaję, mama gra. Dla mnie, dla mnie fortepian. Muszę go wypróbować. Poczekaj na mnie, Libuszo. Obiecałaś zostać. Zagram dla ciebie, moja miła. *(biegnie do zakładu zdrojowego)*

LIBUSZA: *(siada, patrzy w okna)*

FRYDERYK: *(gra*)*

(Oklaski)

KURACJUSZE: *(biegną pod okna słuchać)*

FRYDERYK: *(gra)*

RITA NAVARRA: *(nadchodzi na palcach, siada obok Libuszy)*

br. POMPONI: *(niezadowolony staje obok ławki)*

(Po skończeniu gry huczniejsze oklaski, wołania bis)

KURACJUSZE: *(biegną słuchać)*

RITA NAVARRA: Kto to gra? Kto to może być?

br. POMPONI: Dowiem się, jeśli pani na tym zależy. *(odchodzi)*

RITA NAVARRA: *(do Libuszy)* Nie wie pani, kto tak cudownie gra?

LIBUSZA: Chopin. Polak, który tu jest na kuracji z siostrami.

RITA NAVARRA: Ach, ten młody chłopiec? Nieprawdopodobne! On jest genialny.

FRYDERYK: *(gra)*

br. POMPONI: *(wraca, chce mówić)*

RITA NAVARRA: Psst. *(wskazuje baronowi miejsce na ławce)*

KURACJUSZE: *(biegną słuchać)*

(Burza oklasków)

RITA NAVARRA: *(klaszcze* Brawo! Cudownie! *(wstaje)* Ja tego chłopca zabiorę do Wiednia, zajmę się nim. Dam mu najlepszych profesorów. To fenomen.

br. POMPONI: *(kwaśno)* Obawiam się, że ten fenomen się skończy.

RITA NAVARRA: Dlaczego?

br. POMPONI: Jest wątłego zdrowia, a ... lubi dziewczynki.

RITA NAVARRA: Ależ to grzech! Zbrodnia! On się musi leczyć, szanować. Chodźmy baronie, chcę wiedzieć co grał. *(odchodząc z baronem)* Jestem oczarowana. Nigdy nie słyszałam tak oryginalnej muzyki.

FRYDERYK: *(gra)*

LIBUSZA: *(która po odejściu barona i Rity siedziała trzymając ręce na oczach, przynosi kilka gałązek wierzbiny i wije z nich wieniec)*

(Po skończonej grze żywiołowe oklaski)

LIBUSZA: *(kładzie wieniec na ławce i wybiega w ciemność)*

FRYDERYK: *(przybiega, szuka Libuszy, woła)* Libuszo! Libuszo!

TŁUM ZA OKNAMI: Chopin! Chopin!

FRYDERYK: *(biegnąc aleją)* Libuszo! Libuszo!

TŁUM ZA OKNAMI: Chopin! Chopin!

FRYDERYK: *(wraca, znajduje wieniec z wierzbiny, zamyśla się, przyciska wieniec do piersi)*

TŁUM ZA OKNAMI: *(wołanie o bis)*

FRYDERYK: *(powoli wraca w kierunku zakładu)*

KURTYNA

KONIEC

Maria Orzechowska

*) Pianista za sceną powinienby grać utwory Chopina, skomponowane do okresu dusznickiego, albo podczas pobytu w Dusznikach: Nocturn s-dur, Polonez b-moll, Mazurek a-moll ...

Krótkie spięcia

Dziesiąta muza

Pomówimy tym razem coś nieco o sprawach filmowych. Ale nie broń Boże o jakichś rzeczach fachowych, z dziedziny np. montażu, wyświetlenia, krytyki filmów itd., lecz o sprawach niejako zakulisowych. I znowu jedno małe zastrzeżenie: Nie będzie to dotyczyło (broń Boże!) spraw Filmu Polskiego, ani też polskiego filmu, lecz spraw filmu amerykańskiego. Opowiemy tutaj takie jedno małe wydarzonko.

Jak wiadomo filmowcy amerykańscy jak polowali po Europie na tzw. „gwiazdy" i „gwiazdorów", tak polują nadal. Jak tylko jakiś europejski film zdobędzie renomę i sławę (nawiasem mówiąc takich filmów jest coraz więcej, ale to na razie nie ma nic do rzeczy), to producenci z tamtej strony Atlantyku natychmiast próbują skaperować dla siebie takiego czy innego aktora lub aktorkę, aby ich zresztą, jak to wiemy z licznych przykładów, odpowiednio zmanierować (co też nie należy do rzeczy).

Otóż po ostatnim wielkim sukcesie w Paryżu filmu węgierskiego „Gdzieś w Europie..." (niewiadomo, jaki będzie tytuł polski tego filmu) artystka węgierska Suzy Banky, która w tym filmie gra główną rolę, została „zauważona" przez Paramount Picture Inc. i po niedługim czasie otrzymała z Hollywood zaproszenie do engagement. I w tym zaproszeniu znajdował się tzw. spis rzeczy, które należy naprzód przesłać do Ameryki. A więc jakieś „dobre zdjęcia" (tak jakby wysyłano w takich wypadkach złe), a dalej — wymiary poszczególnych części ciała.

„Dear Miss Banky" odpisała na to w sposób następujący:

„Dziękując panom za zaszczytne dla mnie zainteresowanie, jakie panowie mojej osobie okazują, wyrażam równocześnie żal, iż kwestionariusz w sprawie wymiarów mego ciała odsyłam panom niewypełniony. Uważałam bowiem za zupełnie niepotrzebne wypisywanie tam obwodu swojego biustu, swoich bioder, swojej wagi itd., a to dlatego, ponieważ w Europie jeszcze nie ma na szczęście zwyczaju, by na podstawie obwodu czyjegoś biustu lub bioder oceniano jego — talent."

Jednak na świecie muszą być zawsze ludzie, dla których pojęcie taktu jest zupełnie czymś obcym.

Mówimy naturalnie w tym wypadku o — pani Suzy Banky.

Bo gdzieżbyśmy to śmieli powiedzieć o Paramount Picture Inc.?

Wykluczone!

NIEJAKI X.

Ruch wydawniczy

FILOZOFIA: Więc przed rozprawą go zabijecie nie wysłuchawszy obrony? Widać przecie, że on chce coś powiedzieć.

PLATON: No nie; my całą sprawę oddajemy tobie. Jak zechcesz, tak zakończysz rozprawę.

FILOZOFIA: A co mówisz ty?

LUKIAN: To samo, Filozofio, pani moja; Ty jedna może potrafiłabyś znaleźć prawdę. Przecie dopiero na moje błagania z wielkim trudem udało mi się zastrzec sąd dla ciebie.

PLATON: Teraz, ty niecnoto, nazywasz ją panią, a przedtem Filozofię ze czci odzierałeś; przed tak ogromną widownią obwoływałeś każdy rodzaj jej myśli po dwa obole od sztuki.

FILOZOFIA: Zobaczcież; może on nie o Filozofii źle mówił, tylko o tych magikach, którzy pod moją firmą robią dużo złego.

Z „Dialogów wybranych" Luciana z Samosaty. Przełożył wstępem i objaśnieniami opatrzył **Władysław Witwicki**, wydała Książnica-Atlas Wrocław-Warszawa, stron 280.

Wacław Taranczewski: Wieczorny poemat. Rysunek wyjęty z pięknie wydanego tomu poezji **Wandy Karczewskiej „Notatnik liryczny"**, nakładem Biblioteki Arkony, 1949, stron 63, oprac. graficzne Stan. Brzęczkowski.

Powieść „Saskie ostatki", napisana z wielkim wyczuciem epoki, należy do najlepszych powieści Kraszewskiego w owym wielkim cyklu powieści historycznych... Podziwiać naprawdę można niezwykłą pomysłowość autora, liczącego w chwili pisania powieści 74 lata, barwność opisów, żywość opowiadania, trafną charakterystykę osób.

Ze wstępu prof. Wiktora Hahna do nowego wydania **„Saskich ostatków" J. I. Kraszewskiego**, „Czytelnik" 1949.

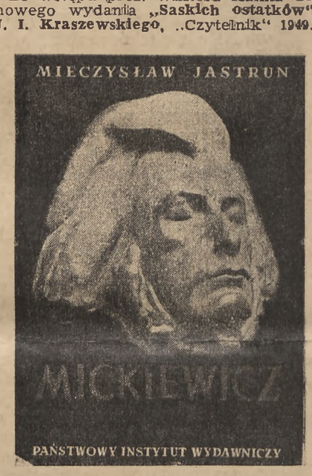

Mieczysława Jastruna „MICKIEWICZ" wydany został przez Państwowy Instytut Wydawniczy w Warszawie 1949, stron 410. Książka wydana została nader starannie z ikonografią mickiewiczowską i z przerywnikami w stylu epoki w tekście.

...związek literatury z regionem interesuje i badanie literackie i geografię; ten konieczny przerzut materiału w dwie dziedziny o charakterze różnymo sprawia, że nie tylko moment humanistyczny w pewnej swej formie wnika w naukę przyrodniczą, ale także, że badanie regionalistyczne literatury ma podwójny charakter: badań humanistycznych i badań przyrodniczych.

Zdanie z książki **Stefanii Skwarczyńskiej „Systematyka głównych kierunków w badaniach literackich"**, tom I, Łódź 1948, stron 315. Nakład Łódzkiego Towarzystwa Naukowego.

Zgnilizna moralna i upadek uczucia jakichkolwiek obowiązków względem ojczyzny najsilniej dotknął najwyższych dostojników kleru jako pochodzących z grona najbardziej zgniłej wówczas klasy, mianowicie magnackiej. Z tej klasy wyszły tak nikczemne postacie jak książę Adam Poniński, jak cały wyżej wymieniony skład tzw. zdrady patriotycznej. Rozkład moralny nie oszczędził i kleru. Sprawiedliwość jednak każe zaznaczyć, że i wśród wyższego kleru znajdowały się wprost świetlane postacie jak wymienieni przez Korzona biskup warmiński Krasicki, Naruszewicz, Rybiński, biskup kujawski, który podczas sejmu Czteroletniego występował jako przeciwnik Rosji i zwolennik reform sejmowych, Turski, biskup łucki, wreszcie twórca konfederacji barskiej, biskup kamieniecki Adam Krasiński. Lecz czoło wśród tych wyjątkowo zacnych książąt Kościoła dzierży ksiądz Hugo Kołłątaj, który co prawda nie doczekał się żadnej infuły.

Z książki dra **Zdzisława Mierczyńskiego „Wybrane żywoty książąt Kościoła polskiego"**, Spółdzielnia Wydawnicza „Słowo", Łódź 1949, str. 181.

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36 a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Waryńskiego 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje „Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9, Spółdzielni Wydawniczo - Oświatowej „Czytelnik", Katowice, 3 Maja 12. Tel. 309-73, wewn. 08.

R 019609